

ZBIÓR POWIEŚCI

J. J. KRASZEWSKIEGO

Tom 63.

WYDANIE NOWE

PRZEJRZANE I POPRAWIONE PRZEZ AUTORA.

MISTRZ TWARDOWSKI.

II.

L W Ó W.

W księgarni **Gubrynowicza i Schmidta,**
przy placu św. Ducha l. 10.

1874.

WARSZAWA.

W księgarni **Michała Glücksberga.**

THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

LIBRARY

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

LIBRARY

ZBIÓR POWIEŚCI

J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrzone, poprawione i uporządkowane przez Autora.

Ogólnego zbioru tom sześćdziesiąty trzeci.



SERIE OBYCZAJOWA I HISTORYCZNA.

MISTRZ
TWARDOWSKI

POWIEŚĆ
Z PODAŃ GMINNYCH

PRZEZ
J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrane i poprawione przez Autora.

Tom II.

L W Ó W.

W księgarni Gubrynowicza i Schmidta
przy placu św. Ducha l. 10.

1874.

W A R S Z A W A.

W księgarni Michała Glücksberga.



II m. m. 1/12



Nakładem Pillera i Gubrynowicza & Schmidta.
Drukiem Kornela Pillera.

1986 D 26

ROZDZIAŁ I.

Jako Twardowski chciał użyć świata.

Znowu nasz mistrz siedział w swojej izbie w Krakowie, i znowu jak niegdyś na Krzemionkach, dręczyły go dziwne myśli i żądze. Czuł znowu że mu wiele brakło do szczęścia.

— Wszakże, mówił do siebie, mam naukę, której tak gorąco pragnąłem i władzę w ręku wielką — czegoż brak mi jeszcze?

I ze śmiałością mędrca, który się nie lęka zbadać głębi swojej duszy, Twardowski patrzył w nią, jak lekarz, który patrzy na chorego jęczącego od bólów, na pozór widocznej nie mających przyczyny, a pragnie dojść siedliska choroby.

— Coż mi jest? myślał: Nie mam-że władzy i nauki? Jest że jakie szczęście na świecie, któreby przechodziło szczęście pochodzące z uczucia niezmierniej władzy i pojęcia otaczającego świata?

A szatan niewidzialny szeptał mu w ucho:

— Jest jeszcze inne szczęście, którego ty nie doznałeś. Znasz świat i możesz wiele, ale nie *użyteś* niczego.

Na tę myśl, która jak błyskawica przesunęła się po jego głowie, wstrząsł się mistrz, bo to była *myśl-matka*, z której całe pasmo nowych dla niego wyobrażeń o życiu wysnuć się miało.

— Potrzebaż, mówił do siebie — potrzebaż koniecznie użyć, żeby być szczęśliwym, jak bestja, jak zwierze, jak ten tłum, co nie pojmując świata, używa go jednak i — stęka. Nie lepiej — że *pojąć* wszystko, a niczego nie tknąć, nie wmięszać się w tłum, nie skalać się, stać wyżej wszystkich rozkoszy, które człowieka

niewolnikiem ziemi i ciała i świata czynią? Potrzebaż koniecznie, abym ja, wyższy od ludzi nauką i władzą, zrównał się z nimi *użyciem* świata, zniżył się jak oni, do napicia z brudnej kałuży?

— Któż mię zapewni, że potem będzie mi dosyć? Któż mię zapewni, że raz puściwszy cugle, wstrzymam się i nie zapragnę wypić tej czary aż do mętów i gorzycy, leżących na dnie?

— Warte - li te rozkosze, abym się zniżał do nich? Toć to jest, albo nie, co w istocie dręczy mnie i nie-spokoi?

I myślał, i patrzył, i przekonywał się mimowoli, że próbując szczęścia ziemskiego, zostawało mu jeszcze spróbować użycia świata.

— Ha, rzekł do siebie, nie trudno mi będzie użyć świata! — I śmiech szyderski rozległ się w tej chwili tuż obok. Był to głos szatana.

— Ty tu znowu, szatanie?

— Zawsze, mistrzu! Słucham ciekawej rozmowy twojej duszy z ciałem i śmieję się słysząc to dumne: nie trudno mi będzie użyć świata.

— Jest-li to śmieszne? z czegoż się śmiałeś tak głośno?

— Bo ci ta myśl przyszła właśnie w porę, jaką przepowiedziałem. Spójrz na siebie. Jesteś złamany nauką i pracą, myślami, niepokojem; duszą, która się w tobie jak lew w klatce uwięziony bije i tłucze. Twoje włosy, nie z wieku lecz z pracy opadają z głowy jak dojrzały owoc, wędną, schną i siwieją, twoje oczy opasały się czerwonym obręczem, tem piętnem mokołu lub rozpusty; twarz ci zapadła i zmarszczyła się jak pargamin stary, ciało nabrało zgięcia jak łuk, który, choć mu stronę odpuszczają, chyli się z nałogu. Przywykłeś i przyrosłeś do twej ciszy naukowej, znasz księgi, ale znasz-że ludzi, znasz-że ty kobiety, bez których użyć świata nie potrafisz? Czy potrafisz dać sobie radę ze światem, mędrze, coś go tak głęboko zbadał? Ja jestem pewny, że pierwsze dziewczę wiejskie w pole by cię, w praktycznem życiu, wywiodło.

Z kolei Twardowski, pewien siebie, zaczął się śmiać głośno.

— Najlepszy śmiech ostatni, rzekł djabeł podtuliwszy ogona, zobaczmy kto się w końcu rozśmiejemy, zobaczmy! Ale mistrzu, przestrzegam cię, że znać świat jak mędrzec, i znać go jak ten co go używa, wcale to co innego. Weź kwiat; powiesz mi mądrze wszystkimi języki świata jego nazwiska i własności lekarskie, ukryte w nim siły; ale czy spleciesz go w kształtny wieniec jak prosta dziewczyna, czy potrafisz go przypisać jak kuchmistrz, lub prosta kucharka?

— Jak z tym kwiatem, tak ze światem, mój mistrzu; inaczej patrzy mędrzec który bada, inaczej człowiek który używa.

— Alboż sztuką użycie, kiedy tyle głupców to czyni nie zastanawiając się nawet.

— Głupców! zapewne — rzekł szatan, ale ci głupcy są *w tem* mądrzy; całe życie święcąc ciału i użyciu świata jak zwierzęta, już dobrze wiedzą co czynią. Zobaczysz mistrzu, że ci za późno przyszła ta myśl, którą ci dawniej podawałem. Bo żyć na świecie a nie użyć go, choćby jak głupcy i zwierzęta, jest to jeszcze nie znać i świata i siebie z jednej strony.

— Alboż to tych tajemnic, rzekł mistrz, siłą rozumu domyśleć się, przeczuć ich i instynktowo w nie się wcielić nie można?

— Wszystko to dobre w książce — teorie — a od teorii do praktyki tak daleko, że chyba nieroztropny człowiek mógł wymyśleć poczynanie życia i nauki od teorii. Jest to naumyślne psucie i zwichnienie siebie, gdy kto rozumuje nad działaniem, nad życiem, wprzód niż działa i żyje. Za teorią służy człowiekowi instynkt przyrodzony, wszelka inna śmieszna i nieużyteczna, może szkodliwa.

— Paradoksa! odpowiedział Twardowski; zresztą, zobaczmy!

Śzatan uśmiechnął się i zniknął, a Twardowski znowu padł w swoich myśli objęcie. Gniewało go nie pomatu to ciągle szpiegostwo szatana, i ciszej jeszcze,

ostrożniej, snuł myśli swoje w głębi duszy, nie otwierając ust nawet.

W skutek tych rozmyślań i rozumowań wypadło, że mistrz żalować potroszę zaczął lat swoich młodocianych straconych na nauce. Djabeł dawno wiedział że tak być w końcu musi.

— Co na tem zyskałem? myślał. — Trochę sławy. Któż nie wie co to sława? Jest to zapach, który dziś rozchodzi się w powietrzu, a jutro ginie pomieszany ze smrodnym jakim wyziewem. Co mi z tej sławy kiedy, i ona nie zaspokaja duszy, kiedy i tej mało mi jeszcze. Najgłupszy z ludzi szczęśliwszy jest w objęciach kobiety, niż ja w moim wieńcu. Szkoda tamtych chwil, szkoda, bo całe mojego życia siły, najjaśniejsze dni, przeznaczone do użycia świata, zeszyły na ciężkim znoju, a w zapłacie zostawiły mi sterane zdrowie, wspomnienie płowe i blade, i sławę, śmieszne słowo, wynalezione dla omamienia ludzi na ich oglupienie. Rodzaj fałszywej monety, za którą niby wszystko mieć można, a której nikt nie przyjmuje. Religja sławy jest najdziwniejszą z przyjętych przez ludzi wiar; każda religja płaci czemś za wiarę, obietnicą nagrody — sława niczem, gorzej niż niczem, bo odurzeniem. Cóż to sława? Że mnie pokazują palcami, że o mnie szepczą głupcy? że się na mnie patrzą gdy idę? A jednak iluż to jest takich, którzy mnie i imienia mego nie znają, iluż tu jeszcze nie myśli i nie mówi o mnie? — Na jedno wspomnienie ludzi, ileż to zapomnienia! Dla tak nędznej zapłaty, wartoż ofiar tyle?

I Twardowski tak myśląc a narzekając, wzdychał nad straconem życiem, nową sobie wcale przyszłość rysując. — Postanowił iść inną drogą i spróbować użyć wszystkiego. Nie wątpił on, że wszystko ku niemu się nagnie, że go świat w miłośnie chwyci objęcie i różane wyściele mu łożę. Ale się omylił mocno, sądząc że można począć używać świata, gdy się użyło i *zużyło* na nauce i pracy lata młode.

Rzucił więc księgi w kąt i wyszedł w ten świat, aby go obejrzeć okiem żądzy, jak go wprzód oglądał

okiem mądrości i wiedzy. Całkiem to inne było spojrzenie, które mu nieznany jeszcze, nieprzecuty nawet, nowy świat odkryło. Oko mędrca skielet tylko świata, oko kochanka życie, ruch i duszę widzi. Każdy przedmiot inaczej mu się teraz wydawał, we wszystkim szukał on użytku i rozkoszy, pokazała mu się więc strona świata rozkoszna i piękna, ale z nią razem przyszło uczucie wewnętrzne, mówiąc mu, że nie miał organów na użycie świata. Wszystkie pięć zmysłów jego niewprawnych, niewyuczonych, stępiających macezacją, wyrwały się bezsilnie, podrażnione, jak paralityk do skoków. Smutny to był stan i smutne myśli i żale przeszłości.

Widział kobiety-anioly, do których się nigdy nie zbliżył; a czuł on że one nie mogły go kochać. Bo miłość nie jest nigdy tak bezinteresowną na świecie naszym, aby dając wszystko nic nie brała. On zaś cóż jej mógł dać? Ciało bez wdzięku — serce bez siły i ognia — zagaste oczy, żądze wielkie, ale nieusprawiedliwione młodością i bez tłumaczy. Widział nie raz kobietę-aniolę, na którą patrząc duma się o niebie, a czuł że nie mógł ulecieć z nią do nieba, które mu przypominała, jedną nogą do piekieł już będąc przykuty. Widział kobietę-rozkosz, z usty stworzonymi do pocałunku, z lubieżną piersią, z pałającym wzrokiem. Lecz i ta mogłaż być dla niego? Cóż dla niej mógł znaczyć chudy, bezsilny, zużyty nad księgami mędrzec? — chyba gorzką na poranek zgryzotę. Zgryzoty i miłość gdy się raz spotkają, miłość musi uciekać prędko.

Widział młodziuchne dziewczęta, których wejrzenie wzbudza myśli o raju niewinności i miłości pierwszej. Lecz gdzież był węzeł współczucia między nim a nimi? Widział dojrzałe dziewice, co śmiało w świat patrzeć, bo czują że mu są potrzebne, konieczne jak chleb, lecz ich nadzieje z jego zimną mądrością nie umiały się pogodzić.

Widział jeszcze te dziwne zjawiska kobiety, wpół-uwiedle, już na łądydze, w tym wieku, który młodość zamyka, a jeszcze nie zaczyna starości; widział je okiem

żądzy, bo ma swój powab także tych lat kobieta; ale kobieta taka nie wybierze wywiedłego nad księgami, łysiego i uczonego do pary; jej potrzeba jak Dawidowi odświeżyć się, odżywić, tchnieniem młodem, przypominającym jej lata, o których z rozpaczmy myśleć nie śmie i nie może.

Widział Twardowski szczęście bogaczy, ów przepych, wytwory, owo życie sybarytów i neronowskiego Rzymu, życie w miękkości, w rozkoszy, w poszukiwaniu przyjemnostek i wszelkiego rodzaju wygod, widział te pieśszoty ciała, chciał był użyć ich; lecz zmysły jego nie były przygotowane do takiego szczęścia, do którego z kolebki losy kołyszą człowieka, lub umyślnie na to go stwarzają.

Widział zastawne wytwornemi jadły i napojami stoły, lecz chociaż czuł rozkosz podniebienia, łechtającego i zaspokajanego, w myśli, choć pojmował to bardzo, on, co dotąd jadł tylko aby żyć, czuł że nie potrafi w całej rozciągłości nauczyć się użycia tej rozkoszy.

Tak przechodziły mu przed oczyma wszystkie świata rozkosze kolejno, a każda, mijając go, plwała mu w twarz i wołała:

— Idź stary i zużyty człowiecze, nakryj się dziurawym płaszczem dumnej twojej nauki, i żyj z mólami twoich książek; jesteś za stary.

Tak powoli przekonał się Twardowski, że opuścił chwilę dogodną użycia świata, że prawda była przy djabie, a przy nim został żal tylko; przekonał się że trzeba było młodych zmysłów i serca i nieużytych w ciągłej walce sił, aby się nasycać; przekonał się że gdy połowa jedna upajała się, druga konać musiała z próżnego pragnienia. On należał do tej drugiej połowy.

Smutny, ze spuszczoną głową, poglądał i myślał.

— Nie ma już nic dla mnie? nic-że mi nie pozostało? Nie masz-li sposobu, ratunku? Dałem duszę djabłu za szczęście, ałem się omylił w wyborze szczęścia — obłąkała mnie nauka. Pozostanę tak nieza-

spokojony po użyciu świata ciałem, jakim pozostał używszy go i zbadawszy myślą? Wielkie pytanie! Życie byłoby tylko gorzkim żartem z nas biednych??? Pierwszy to raz Twardowski zchodził do takich myśli i czuł się upoko zony, a naówczas, jakby mimowolnie, przyszły mu do głowy chwile wiary i młodości, daleko już za nim siniejące w oddaleniu; przyszło mu na myśl życie jego niewinne, słodkie, ucznia i dziecięcia, mimowoli uczuł, że *to tylko* była chwila szczęścia, bo to był wiek nadziei.

— Więc *nic* tu nie ma, tylko *nadzieja* wszystkiego? myślał. Nadzieja, i najmądrzejszy kto robi sobie nadzieje, a niemi żyć umie, nie tykając i nie pragnąc rzeczywistości — wreszcie, mam i ja nadzieję jeszcze, nadzieję użycia świata; będę nią żył, czekając lepszego.

ROZDZIAŁ II.

Jako Twardowski kochał i pożałował swojej młodości.

Jeden z wielce uczonych profesorów, medyków Akademji, będąc przypadkiem żonaty, miał śliczną córkę, może także przypadkiem. Imię jej było Hanna, twarz jej anielska! Wyobraźcie sobie blade oblicze, jakby anioła na obrazie, złote włosy, wejrzenie omdłałe czarnego przytem oka, wejrzenie, które każe myśleć o niebie. Na ustach dziewczyny panował figlarny uśmiech młodości, co nie zna jutra, we wszystko wierzy, w siebie, w szczęście, w ludzi, w cnotę, nie rozumie egoizmu, pojmuje poświęcenie i przeczuwa już cenę jego w życiu.

Taka to była Hanna, którą Twardowski wybrał za kochankę. Głupi starzec, myślał że się z nią zgodzić potrafi, że on ją a ona jego pojmie, kiedy ich rozgrządał cały świat różnicy, całe morze rozdziału, całe wieki.

Piękna Hanna, co tak mocno czuła serce w sobie, gdy ją spotkał młodzieniec, gdy zdala spojrział na nią rumieniąc się i mówił do niej wymownym językiem młodości — oczyma: ja cię kocham; piękna Hanna odskoczyła zdziwiona gdy się mędrzec zbliżył do niej, woniejący zbutwiałemi księgami, przesiąknięty nauką, dumny sławą, zimny, mądry, suchy, blade i pomarszczony. Myślała jednak że to był przypadek. Lecz gdy raz i drugi i trzeci zbliżył się do niej, gdy już wątpić nie mogła, lękać się zaczęła i myślała:

— Toż to mój przeznaczony?

Bo wiadome przysłowie naszego ludu — że Bóg dziewczę męża, chłopcu żonę przeznacza — a obojgu śmierć — i prawda!

Nie zrażał się oziębłością Hanny mędrzec, choć mu było smutno, że ta miłość, którą mógł lada gaszek obudzić, spała w sercu dziewczyny na widok jego. Nawczas dopiero postrzegł, że mądrość jego nie była zupełna, bo ten jest tylko mądry wedle świata, kto zna świat ciałem, nauką i sercem, użył go, pojął i uczuł. Twardowski znał świat tylko jednym zmysłem niejako.

Tymczasem szedł dalej — nie tracąc jeszcze nadziei, że się podobać potrafi. Dosiadywał uparcie przy pięknej Hannie, ale napróżno. Wielkimi oczyma patrzyła na niego, a głośną sławę jego czytając z pomarszczonego czoła, zdumiewała mu się, dziwiła, kochać jednak nie mogła. Nie śmiał także Twardowski inaczej swej miłości, tylko zagastemi oczyma okazywać, tak czuł całą śmieszność swojego położenia. A jednak ufał w siebie. To już było proste oślepienie egoizmu. Uwodził się mistrz, jak wszyscy zakochani uwodzą, mówiąc sobie:

— Może jutro, może kiedyś.

I odchodził bez nadziei i powracał znowu; jutro jednak spodziewane daleko było, a Hanna coraz zimniejsza i bardziej przelekniona, bo się lękała aby ją ojciec za suchego i nudnego mędrca nie wydał, okazywać mu zaczęła wstręt, oziębłość; i wprzód poufała jak dziecie, rozmyśliwszy się głęboko o ile mogła, usteczka różowe skrzywiła, czoło białe zmarszczyła, milcząc niespokojna lub na wszystko trzęsąc tylko głową.

Twardowski siedział jednakże przy niej, co dzień się zbierał mówić jej o miłości, i co dzień do jutra odkładał; tak mu się to zawsze równie śmiesznem, trudem, niewczesnem zdawało.

Narescie, gdy rozgniony przy niej odezwał się z jakimś strzelistym oświadczeniem, piękna Hanna roześmiała mu się w oczy, prosiła go bardzo żeby z niej nie żartował, a potem zostawując mu pomieszanie i wstyd — uciekła. Twardowski odszedł pełen złości i gniewu, klnąc wszystkie kobiety w powszechności i każdą z osobna, odszedł do siebie, zamknął się i du-

mał, czyliby nie dać miłośnego napoju upartej niewieście, aby go gwałtem pokochała, albo nie użyć którego z tych tysiąca sposobów, które tak łatwo drugim podawał. Lecz jeszcze za mało i za chłodno kochał ją, żeby się miał rzucić do takiego sposobu; chodziło mu raczej o spróbowanie, czyli mógł wzbudzić miłość, i dla tego także niczem sobie dopomagać nie chciał, wszystko chciał bydz winien sobie. Widząc że z Hanną ciężka bardzo sprawa, porzucił ją bez żalu wielkiego, albowiem miłość jego była w głowie nie w sercu, a z głowy łatwo ją wypędzić.

Myślał potem, nadto była Hanna młoda. Szukał więc dojrzałszej niewiasty.

Łatwo ją znalazł. Była to córka burmistrza i rajcy krakowskiego Wejgła, mniej daleko piękna od Hanny, ale rozumniejsza od niej i dobrze od tamtej starsza, dwadzieścia kilka lat bowiem przyznawano jej urzędownie, a według wszelkiego podobieństwa czułość rodzicielska choć trochę odkraść musiała, dla dziecka wygody i własnej może; bo p. burmistrzowa rada też była za niezwindłą jeszcze uchodzić. Sądził Twardowski, że ta lepiej go oceni i przyjmie; omylił się grubo. Starsza była doświadczona, śmielsza, a że się koło niej (to jest talarów ojcowskich) wiele młodzieży zwijało, odpowiedziała mistrzowi od razu całą prawdę.

— Waszmość o tem już nie myślćcie, jakby sobie serce niewiasty pozyskać, minął ten wiek. Nie umiesz waszmość szablonować z kobietą, zestarzałeś się na księgach i myśleniu, ożeniłeś się z mądrością, nie idźże darmo do niewiast. A potem, sami powiedźcie, nie śmiesznież by to było, żebyś waszmość kochał i chodził za podwiką jak młokos?

Gorzka to była prawda, której Twardowski i słuchać nawet nie chciał. Uciekł więc prędko od Wejglówniej, pomyślawszy:

— Rajca bogaty, złem się udał — uboga będzie pokorniejsza, ta ma złotem swoim nabitą głowę.

Ale i ubogiej nie chciało się także mistrza, bo i ubodzy umieją cenić ten kwiat jedyny na pustyni ży-

cia, który się zowie miłością. Jeśli nawet która udawała miłość, w nadziei że zyska co od niego, Twardowski widział, że pod tą błyszczącą zwierzchnią sukienką była inna podszewka.

Tak powoli próbując, tracił coraz nadzieję, i wreszcie powiedział sobie, że próżno było, gdy włos przyprósza siwizna, myśleć o gachostwie i niewiastach.

Zaczem rzekł w sobie:

— Czas pomyśleć o odmłodnieniu, abym dokonawszy je, zaczął świata używać.

Zawołał zaraz do izby Maćka, a zamknawszy ją, tak do niego mówił:

— Przysiągłeś mi, kiedym cię od pewnej śmierci wybawił, że mnie we wszystkim słuchać będziesz, co ci rozkażę — pamiętasz-li to?

— O! pamiętam i dotrzymam! rzek Maciek składając ręce.

— Ponów mi tę przysięgę.

— Nie potrzeba ci tego mistrzu, dość jednej; ktoby jedną mógł złamać, złamałby dwie bez trudności.

— Zestarzałem się, rzekł po chwili mistrz, czuję że czas mi nabrać nowych sił i nowego życia w odmłodzeniu. Ufam ci i powierzę tobie moje ciało. Dam ci przepisy jak sobie z niem masz postąpić, niech się to dokona w najgłębszej tajemnicy — niech nikt się nie dowie sposobu jakiego użyjem. Sposób ten jest całkiem inny od tego, któren ci pokazałem wprzód, a którego ty tak nieszczęśliwie zachciałeś sam spróbować. Słuchaj i uważaj. Na tej karcie wypisane są szczegóły.

Dasz mi naprzód napój usypiający, na samym nowiu księżycy, poczem obmywszy ciało moje należycie, osmarujesz je maściami i zioły, które do tego są już zdawna przygotowane, a to w takim porządku, w jakim stoją słoiki na półce. Między każdym balsamowaniem ma upłynąć dzień, a po każdej maści obmyjesz ciało moje wodą z siedmiu krynic. Potem gdy wszystkie siedem maści wysmarujesz, obmywszy raz jeszcze ciało, włożysz je w przygotowaną cisową trumnę i pochowasz w ziemi świętej na smętarzu. Pilnuj zaś

żeby grobu człowiek chciwy albo zwierz nie odkopał, bo by po mnie było i po tobie Maćku także. Licz potem dni troskliwie, a gdy ubiegną trzy lata, siedem miesięcy i dni siedem, wyjmiesz przygotowanych na to siedem świec z trupiej tłustości i zapaliwszy je, odkopiesz ciało moje, które już będzie odmłodzone.

Skończywszy Twardowski, powtórzył to jeszcze Maćkowi raz i drugi i trzeci, kazał sobie powtórzyć kilka razy próbując czyli spamiętał, i spokojniejszy, jał jeszcze różne drobne przestrogi dawać względem obejścia się z ciałem. Zostawił prócz tego opis na piśmie dokładny lecz aby Maciek przez nieostrożność nie wydał tajemnicy komu, napisał pewnym sympatycznym atramentem, który za użyciem tylko wiadomych środków czytać się dawał. Obiecawszy wręście Maćkowi wielkie bardzo nagrody za dokładne wypełnienie przepisów, odważył się nie bez niespokojności oddać w jego ręce.

Maciek spełnił co przyrzekł najdokładniej.

ROZDZIAŁ III.

Jako Twardowski odmłodził i co potem uczynił.

A gdy spełniły się trzy lata i siedm miesięcy, przez który czas Maciek pilnie strzegł grobu mistrza, porastającego co dzień wyżej murawą i zielskiem, siódmego dnia po siódmym nowiu zapalił siedm świeczek z tłustości trupiej i poszedł na smętarz. Rozstawwszy światło do koła, sam kopać zaczął, a po niemałej pracy usłyszał nareszcie motykę stukającą o wieko trumny. Tę gdy wyjął na ziemię i zamkniętą na klucz otworzył, z wielkiem podziwieniem swoim ujrzał Maciek, nie już odmłodzone ciało mistrza, jak się spodziewał, lecz drobne dzieciątko, żywe i zdrowe. Wziął je więc na ręce pocziwy sługa i zasypawszy dół ziemią, zaniósł do domu.

Myślał już starać się mamki temu nowemu obywatelowi świata, lecz że była noc, napoiwszy je mlekiem tylko i utuliwszy w łóżku, sam znużony pracą spać się także położył.

Nowe i nie mniejsze podziwienie, gdy nazajutrz rano ujrzał, że dziecię samo już wstawało i chodziło, a choć jeszcze małe było jak półtoraroczne, widocznie jednak w oczach rosło. W ciągu siedmiu dni to dziecię stało się młodzieńcem, i dziwnym cudem był to, choć młody, ten sam jednak Twardowski. Też same rysy twarzy, taż sama nauka, ten sam charakter, pamięć zupełna przeszłości, ale młode i czerstwe ciało, ale żywe namiętności i wielka żądza użycia świata.

Maciek się dziwił i milczał.

Dawni Twardowskiego znajomi poznali go, choć pod tą nową postacią, i to podobno najdziwniejszem ze wszystkiego było, bo wszyscy widzieli w nim wielką

zmianę, a tak oczy ich i serca otumaniał, że młodszym go oczewiście postrzegając wierzyli, jednak że był ten sam co wpródy.

Zabierało się na całkiem nowe życie.

Twardowski najął wielką kamienicę w rynku krakowskim, przyjął na jurgielt czeladź liczną, skupił bogate do domu obicia, naczynia srebrne i złote, napelnił drogiemi winami piwnicę, stajnię kosztownemi końmi, sprowadził z Niemiec złożone kolasy. Zapylone księgi w kąć poszły.

Z zimnem przewidywaniem starca, a gorącą żądzą młodzieńca, sposobił się on do użycia świata, otaczając się naumyślnie wszystkim, co przez zmysły jakąkolwiek rozkosz dać mogło. Bogatemu nie zabrakło przyjaciół. Ze stołn nie schodziły nigdy prawie pełne i kurzące się misy srebrne, roztruchany wina pełne. Gdy nie stawało pieniędzy, djabeł bryłami przynosił srebro z Olkusza. Już Maciek nawet biedny, patrząc na to, zazdrościć poczynął, a nowo zjawione bogactwa mistrza, kładnąc na karb odmłodzenia, począł myśleć, czyliby kogo tym samym sposobem nie potrafił odmłodzić, aby się z nim potem przyszłemi bogactwy podzielić.

Ale mistrz od czasu ostatniej nieszczęsnej Maćka próby ze starostą, miał na niego oko pilne, w chwili kiedy ta myśl już mu w głowie zakwitać poczyniała, zawołał go jednego ranka do siebie, i jednym czarnoksiężkiem słowem zaklął go w pajaka.

Biedny Maciek uplątał sobie zaraz siatkę w oknie i na muchy czatować zaczął.

Tymczasem mistrz odmłodzony sposobił się jakeśmy powiedzieli do nowego życia. Dom jego już był jednym z najwytworniejszych w mieście, dwór nie tłumny, ale czeladź doborna, dorodna, pod jednostajną bogatą barwą. Wielcy panowie zazdrościli nawet jego bachmatów i fryzów, które pod wyszywanemi dywdykami chodziły, a których mistrz dosiadał łatwo, albo je do bogatej kolasy zaprzęgał. Ściany jego mieszkania okrywały

obrazy, bogate rzeźby z słoniowej kości, kosztowne makaty. Stół jego był najwytworniejszy, i chyba może królewskiemu ustępował, zamorskie korzenie i przyprawy wozami szły na kuchnię. Wszystko to tak mu mało kosztowało, tak łatwo przychodziło, — *Chcę!* mówił tylko i miał — wszystko, co mieć można za pieniądze.

Nie dziw że patrząc na te zbytki ludzie szeptali, iż w tem była djabła sprawa. I uie mylili się, bo diabeł widząc go na dobrej drodze, szczerze dopomagał do zbytkownego, sybaryckiego, cielesnego życia.

Wśród takiego zbytku oddania się życiu miękkiemu, rozkoszom, zabawom, roztargnieniom świata, wśród tego zapomnienia o dawnym celu swoim, Twardowski jednak, ilekroć się spotkał z jakim znajomym akademikiem krakowskim, nie odbiegał dysputacji, i zawsze równy sobie, z jednaką mocą umiał w naukowych przedmiotach rozprawiać, niepokonany w dysputacie, niezwyciężony w argumentach. — Pierwsze wyrzeczone słowo wyciągało z jego duszy cały szereg myśli, rozumowań, domysłów, cytacji, które sypał jak z worka.

Jednakże to wszystko zostawało za nim, tak jak przeszłość, której wprowadzić nie zapomniiał ze wszystkim, ale którą już skończył, i zamknął wrota jej za sobą. Czuć już w nim było więcej światowego niż uczouego człowieka. Z ludźmi próznymi, którzy o kobiecie, koniu i kielichu mówić tylko umieją z uczuciem i wiadomością rzeczy zupełną, Twardowski nie dawał nawet czuć że znał coś więcej i coś ważniejszego nad to, co ich wyłącznie zajmowało. Dziwili się poufali przyjaciele jego i współbiesiadnicy, z tej kategorii nieuków światowych, że tak z mądrości sławiono tego, który nigdy zwyczajem niedowarzonych mędrków nie wnosił rozmowy uczonej przy nich. On bowiem jak głupi pedant nie mieszał w rozmowę lekką stołową gęstą czkawką uczoną, tak nudnej dla ludzi światowych. Umiał, choćby dochodziły rozmowy uczonej granicy, nie tknąć jej nigdy przy profanach, umiał na

pozór skorupę tylko przedmiotów widzieć, i umysł swój doskonale nagiął do potrzeb i pojęć tych, z którymi obcował. W tem była prawdziwa jego wyższość i najpotężniejszy skutek odmlodzenia — miał bowiem teraz dwie twarze i dwie postacie. Zachował starą swoją naukę dla mędrców, a młody, młodością swoją nadany pozyskał nowy charakter światowego człowieka. Sława jego teraz stała się też dwutwarzą jak był charakter. Jedni sławili w nim bogatego człowieka umiającego żyć dobrze, drudzy niezwykłego i nieporównanego mędrca. Twardowski nie porzucił nawet i nie zaniechał praktyki doktorskiej, która do niego mnóstwo ludu ściągala i wielkie mu pieniężne przynosiła zyski.

Stał się więc u pospólstwa dziwowiskiem, o którym najsprzeczniesze rozsiewano wieści, najdziwaczniejsze baję — każdy bowiem inaczej go i po swojemu cenił i chwalił.

Spotkał się młody chłopak hulaka, zwykły gość za stołem mistrza, z poważnym akademikiem, zwykłym jego rozpraw uczonych słuchaczem.

— Co to za wyborny, przyjacielski człowiek, mówił młody, jaki wesoły, jak żyje wspaniale, jakie ma wina i kuchnię.

A drugi mu przerywał, mówiąc:

— Co to za mędrzec, co za niezrównany filozof! Musieli się potem wzajemnie pytać siebie.

— O kim-że to waszmość mówicie?

— O mistrzu Twardowskim, wielkiem świetle akademji krakowskiej, *almae matris*, która go na świat wydała.

— A ja o Twardowskim, bogatym lekarzu, który tak żyje wspaniale i zawsze ma stół otwarty. Jest-li to ten sam?

— Niechybnie ten sam; bo nie ma dwóch Twardowskich na świecie.

Jego więc imię miało dwie sławy tak oddzielne, w dwóch odmiennych całkiem towarzystwa sferach, że one prawie dwie oddzielne osoby wystawiały, a pewnie dwóm osobno byłyby dostatecznie wystarczyły.

Mimo żądy, z jaką Twardowski chciał użyć świata, jeszcze go był ledwie z jednej strony dotknął. Towarzystwo młodych ludzi, ciągłe uczutowanie, wesołe zabawy, paradowanie po mieście, nie stanowiły użycia świata zupełnego; bo któż, co nie znał miłości kobiety, a raczej kilku i więcej kobiet różnych miłości, może powiedzieć, że świata użył? W rozumieniu też Twardowskiego, najgłówniej mu nie dostawało do tego życia miłości; nie mógł się teraz tylko na wybór i początek zdecydować. Trudny był wybór i kiedy teraz był młodym, kiedy za nim latały wejrzenia, wabiły słowa, nęciły uśmiechy — on był zimniejszy, chciał żeby szal, w którego objęcia miał oddać siebie, swą duszę i rozum, godzien był tej ofiary przynajmniej.

Teraz już ani piękna Hanna, ani Wejglówna, ani żadna z dawniej znanych, które nim pogardziły, a teraz byłyby mile i chętnie przyjęły zaloty, nie zyskały ani nawet spojrzenia. Mijał je wesoło się śmiejąc, udając że nie poznaje, albo zuchwale im się przypatrując, z szyderskiem natężeniem wzroku.

Twardowski marzył sobie na początek dziewicę czystą i niewinną jak słońce — takiej u nóg chciał złożyć pierwszą swego życia miłość. Chciał znaleźć w przyszłej kochance wszystkie doskonałości, aby je swej dumie poświęcić, chciał doskonałych wdzięków ciała, usposobień umysłu niepospolitych, nareszcie pewnego położenia w świecie, rodu. Ktoby się tego spodziewał! Tak jednak było! Wieśniaczka, mieszcza nie byłyaby go zaspokoila; chciał czegoś wyższego, przeczuwając dopiero teraz, że ród i wychowanie wielce od siebie kobiety różni; że wdzięki prostej wieśniaczki, bez tej szaty, jaką je okrywa dostatek i wykształcenie, są tylko kawałkiem pięknego mięsa.

§ Szukał Twardowski.

Tymczasem któż wie co się działo w nocy? Nieraz widziano koło jego kamienicy przebiegające piękną Strelimussę, sławną miłośnicę Reginkę i wiele innych podobnych. Młodzież nieraz na wieczorne uczyty do niego wiodła z sobą swoje jednodniowe kochanki. Twardow-

ski nie opierał się temu wcale; nim miał poznać wielką miłość do której się sposobił i gotował w duchu, próbował tej łatwej miłości zwierzęcej; bo i ta ma swoje rokosze, gdy więcej ciało niż dusza miłości pragnie, w chwilach, gdy zwierzem bardziej niż człowiekiem jest człowiek.

Często sam jeden puszczał się Twardowski szukać przedmiotu swojej projektowanej miłości, o której dziwy w przyszłości marzył. Czuł on coraz bardziej, że go jednogodzinne miłostki nie zaspokoją, że potrzeba mu wielkiej passji, któraby po uim przeszła jak hebel po szorstkiej i najerzonej tarcicy. Ale nie go tak w żadnej nie uderzało dziewicy, aby jej nad inne pożądał, ażeby czuł się dla niej gotowym do długich i wielkich ofiar, do nadzwyczajnych starań i poświęceń. Nie znalazł żadnej, za którąby poszedł wiedziony na nitce, posłuszny jak dziecko — i to go martwiło razem i zastanawiało.

— Jest-li co we mnie, przez co w każdej z nich postrzegam wady i plamy, a dla żadnej nie mogę czuć tej wielkiej miłości, o której marzę, na którą się zbieram, której do życia potrzebuję? Jest-li to zabytek mojej nauki i odczarowujący jej skutek? Albo czyli w istocie nie jeszcze godnego siebie nie spotkałem? Może — i może? bo któż tak zna siebie, żeby za wszystko co się z nim dzieje mógł przysiądz?

Wielki mędrzec przykrzył sobie jednakże, iż owa miłość spodziewana nie przychodziła. Ale gdzież jej w istocie szukał? po ulicach, po rynkach i po domach zepsutych ciąglem przebywaniem dworu krakowskich mieszczań, gdzie same zalotnice zabiegały mu drogę, wdzięcząc się i uśmiechając. Twardowski nie tego potrzebował, i choć pięknej kobiety uśmiech przyjmował *tym czasem i tym czasem*, udawał miłość, szukał jednakże, gdzieby się z niezaspokojonemi żądzami udać.

Tak to było po odmłodzeniu.

Maciek tymczasem przadł siatkę swoją w oknie i czatował na muchy, biedny sługa.

ROZDZIAŁ IV.

Jako Twardowski pana wojewodę wskrzesił, i kogo tam widział?

Był to wieczór grudniowy, niebo wypogodzone, jasne, błyszczące, przymrozek biały leżał po dachach kamienic. Z kominów wywijały się prosto w niebo jak długie sznury czarne dymy. W oknach tam i sam świeciły i migały światelka. Cicho było w ulicach Krakowa, tylko piesi jacyś ludzie wracali śpiewając z gospod i karczem i domów — Na ratuszu dzwoniono gaszenie ogniów (których jednak nikt gasić nie myślał i tylko okiennice przymykano) — straż nocna wychodziła z Wachthauzu, a od zamku wrzawno, pędziły kolasy i poczty panów do gospod w mieście.

Po winiarniach, karczmach i łaźniach opóźnieni opilcy szumieli jeszcze, a gdzieś tam rzesistszei z okien bijące światła dowodziły, że tam biesiadowano. Słudzy w przysionkach i roztwartych sieniach leżąc na ziemi grali w kości, inni trzymali konie luzne, inni pochodnie. Tak właśnie było i przed mieszkaniem miśtrza, a w mieszkaniu także szumiała biesiada wesola.

W wielkiej izbie trzaskający ogień płonął na ogromnym marmurem wykładanym kominie. Wzdłuż tej sali w pośrodku stał stół dębowy, do koła jego ławy usłane kobiercami wschodniemi. Stół zastany był spadającym do ziemi szytym we wzory obrusem. Na nim kurzyły się misy srebrne, z potrawy korzeunemi, polewkami. — Było to pierwsze dopiero danie; ledwie jeszcze poczynając, piwo roznosić i w kubki rozlewać

słudzy mieli. Gospodarz siedział w końcu stoła podparty na rękę, z uśmiechem gościnnym i uprzejmym zapraszał gości swoich do jadła.

Twarze i postacie które stół otaczały, nie były z dawnych poważnych znajomości mistrza, przeciwnie, były to tylko ożywione młodociane fizjonomie, stroje wykwintne, wąsy do góry, oczy błyszczące, usta rumiane. Żwawo wiązała się i krzyżowała pomieszana ze śmiechami rozmowa o kobietach, o koniach, o wojnie, o winie, o swawoli, Bóg wie o czem jeszcze — ani słówka o księgach. Mistrz mieszał się czasem do rozmawiających, z szyderskimi po większej części żartami, które pasibrzuchy głośnym śmiechem potakującym przyjmowali.

Gdy tak wesoło gwarzą i jedzą i piją i biesiadują, po wschodach słyhać chód prędki śpieszącego się człowieka. Wszyscy umilkli.

Twardowski dosłyszawszy tego, podnosząc głowę, rzekł z cicha:

— Któż to jeszcze do nas przybywa tak późno, czy nie ten wieczny maruda p. Jacek?

Ale nie był to ów stary Jacek, który pozjadał zęby smałać cholewki do młodych dziewcząt i zawsze się chwalić musiał przed wszystkimi niesłychanem swem szczęściem do kobiet; był to zdyszany pacholek czy dworzanin jakiegoś pana, który wpadł po chwili na salę i ogromnym a zdyszanym głosem zawołał.

— Mój pan umiera!

— Wieczne mu odpocznienie! odpowiedziało kilku biesiadników ze śmiechem młodym i potężnym.

— Któż tam taki? spytał po chwili zimno Twardowski — jak śmiesz nie opowiedziawszy się przerywać biesiady?

— Mój pan! wojewoda! wojewoda umiera! powtórzył sługus z rosnącą niecierpliwością, mocno przekonany, że na imię wojewody wszyscy twarzami upadną.

— Choćby stu wojewodów, rzekł znowu któryś biesiadnik — wieczne im odpocznienie — a ty idź sobie

precz ze swoją śmiercią, którą nam do kielicha rzucasz, niezgrabny.

Wszyscy się śmieli znowu.

— Jest tu doktor Twardowski? ja po niego jestem przysłany; rzekł sługa zmieszany.

— Wiedz waść, odparł jakiś młokos, odwracając się na ławie, że Twardowski nie przerwie sobie biesiady, żeby ocalić życie takiemu wichrzycielowi jak twój wojewoda, którego ciało i dusza razem kielicha dobrego wina nie warte.

— Zapewne, zapewne! zawołali wszyscy, nie radzi przerwaniu biesady, któraby obumarała bez gospodarza.

— Ale pan wojewoda obiecuje tysiąc florenów złotych, jeśli go mistrz zastanie tylko pośpieszywszy przy życiu, jeśli umarłego to pięćset, jeśli go ocalić potrafi, dwa tysiące.

Na to wszyscy jakby uderzeni po głowach umilkli, a Twardowski odwrócił się nieco.

— Mamże jechać moi mili goście? spytał.

Trzeba wiedzieć, że tak znaczna na owe czasy obiecana suma wszystkich dziwiła, a Twardowskiemu chodziło bardzo o to, ażeby swojej zamożności, inne źródło, nie kieszeń djabła pokazał. Nie tak więc dla pieniędzy, jak raczej dla oka, myślał że wypadnie pojechać i spytał o to swoich gości.

Goście milczeli i spoglądali jeden na drugiego. Żal im było uczty rozerwanej; nie jeden zazdrościł mistrzowi tak wielkiej sumy, którą tak łatwo mógł nabyć; nareście jeden po cichu szepnął:

— Gdybym to ja był na waszmości miejscu, pojechałbym niezawodnie.

— I ja! rzekł drugi z innej strony.

Miał ochotę odpowiedzieć im mistrz jak Aleksander Wielki, ale po chwili namysłu zawołał, podnosząc się:

— Bawcież się tu u mnie moi mili, a ja pojedę. Pan Mateusz zajmie miejsce gospodarza; otwarte piwnice — jedzcie i pijcie zdrowi; wychylcie tylko puhar odjezdnego i pomyślnych skutków podróży. To mó-

wiąc podniósł kielich za zdrowie gości i pożegnawszy ich odszedł. Rozkazał zaprządz parę koni do lekkiej niemieckiej kolasy, wziął z sobą czterech sług konnych w bogatej barwie, aby wojewodzińskim zamożność swoją pokazać, kazał zapalić dwie pochodnie i śpiesznie wyjechał.

Całą noc otulony płaszczem, dumając, prowadzony przez sługę, dążył do wioski pana wojewody, oddalonej o kilka mil złej drogi od Krakowa.

Kto nie wie jak się to duma, mając niebo pogodne i gwiazdy nad sobą, ten nie pojmie, co było rokosznego w tej nocnej podróży. Nad rankiem już stanęli u celu, ale zapłakana służba w bramie podwórca znać dała, że wojewoda już żyć przestał. — Mistrz ohciał zaraz wracać, zaproszono go jednak do zamku i krewni zmarłego przyjęli uczciwie; nawet mu obiecanych pięćset florenów wyliczyli, lecz Twardowski ich nie przyjął.

Zdziwiło to krewnych, którzy po sławnym lekarzu nie spodziewali się takiej bezinteresowności. Pamiętano jeszcze sławnej pamięci Laskarisa — Balińskiego, który na ubogich i bogatych nakładał takie podatki, i tak sobie płacił suto, wrzód jeszcze niżeli za próg domu ruszył.

— Wojewoda umarł, rzekł Twardowski — nic tu już po mnie, raczcie ugościć sług moich i dajcie mi spocząć — to całą nagrodą będzie za odbytą podróż i przerwana biesiadę. Więcej przyjąć sumienie mi nie dozwala!

Chodziło mu o sławę! Dobrze sobie radził.

— Lecz prawda - li że wojewoda umarł? rzekł po chwili namysłu.

— Ach! aż nadto prawda, na nasze nieszczęście, odpowiedział płaczący w kącie wojewody bratanek, któremu on za życia wiele świadczył, a nic nie zapisał.

— Gdzież ciało jego? spytał mistrz obojętnie.

— Stoi już na katafalku! odpowiedział znowu, ocierając oczy, bratanek.

Twardowski pokiwał głową, usiadł i zamyślił się głęboko.

— Nie można by zobaczyć zmarłego? rzekł.

— Na cóż się to przyda waszmości, odpowiedział jeszcze bratanek; cuchnie już nawet, tak go lekarstwy żydzi i baby napchali.

I płakał gorzko.

— Już go nie wskrzesisz!

— Jeśli prawdziwie umarł, odpowiedział spokojnie Twardowski.

— Ale zkądże waszmości przychodzi ta wątpliwość, rzekł bratanek zdziwiony i poruszony. Dla czegoż waszmość o śmierci jego wątpisz? Ja sam byłem przytomny gdy konał.

— Każ no waszmość wyniść księżom i ludowi z sali, niech ja ciało obejrzę, rzekł uparcie mistrz.

— Ale na cóż się to przyda? spytał bratanek, który nie pojmował żeby być mogła jeszcze jaka nadzieja.

— Nie wiedzieć do czego — to niepodobna! — przerwał dziedziczący po wojewodzie, a dopomógł mu spodziewający się po nim w senacie krzesła.

Jednakże, gdy mistrz stał przy swoim, przez wzgląd na języki i oczy ludzi, wprowadził choć opierając się Twardowskiego do izby obitej czarno, odkryli mu wieko trumny szkarłatnej, stojącej na bogato wysłanem łożu śmiertelnem. Mnóstwo żółtych świec jarzących płonęło do koła. Wojewoda leżał w trumnie z wpadłemi oczyma i policzki, z siwą głową i wąsami. Usta miał otwarte i sine, skórę żółtą i pomarszczoną, kości zdawały się wyglądać z pod niej.

Twardowski wziął trupa za rękę powoli i długo pomyślawszy, odezwał się głośno:

— Wojewoda nie umarł.

Krzykiem podziwienia rozległa się komnata, ale niektórzy oburzać, inni śmiać się zaczęli.

— Żarty z nas stoisz, rzekł dziedzic, cóż to za gadanie! Myśli trupa wyjmować, nie damy. —

Poskoczył bratanek, rozepchał wszystkich, zaczął ga-

dać, przekonał tłum zdziwiony, jał się kłócić, i gdy tu wrzawa, mistrz tymczasem korzystając z chwili, wyjąć kazał ciało z trumny, przenieść je do sypialnej komnaty, puścił krew, która z podziwieniem wszystkich wytrysnęła, otarł czemś czoło i nos, podniósł powieki umarłego i w usta wlał napój czarny.

Naówczas z podziwieniem przytomnych dały się czuć lekkie poruszenia piersi — oczy się obróciły, usta drgnęły, serce zapukało. Wszyscy odskoczyli, a wojewoda zakaszlnął i poruszać się zaczął po łóżku stękając.

Bratanek padł na kolana, inni pouciekali, inni krzyczeli, zgiełk powstał straszny na zamku, hałas się rozlegał, rozjeżdżali się jedni, zbiegali drudzy, co oddawali co pobrali, tamci przygotowania pogrzebowe ściągali, księża ze spuszczoną głową odjeżdżali do pobliskich klasztorów. Wpadła wdowa do izby, weszły dzieci młodsze — Twardowski wszystkich odprawił, położył starca w ciepłym łóżku i zaczął go dopiero z choroby leczyć.

W ciągu trzech dni wojewoda był zupełnie zdrow, a na stole w izbie mistrza leżał trzos skórzany, mieszczący w sobie trzy tysiące florenów. Bratanek ze łzami ścisnął go i całował.

Twardowski wśród tej powszechnej radości i dzieków ponury został i smutny, a gdy siadł do kolasy swojej, za którą wiedziono konie powodne, dar wojewody i bratanka, oglądał się często jakby mimowolnie na zamek, wzdychał i brwi marszczył.

Oczewiście coś go gryzło.

Była temu przyczyna. Drugiego dnia pobytu w zamku, Twardowski wyszedł po bezsennej nocy przejść się po ogrodzie, ogłoconym z liści i pokrytym szronem, aby się świeżem orzeźwić powietrzem. Kiedy tu zadumany przechadza się, spotkał dziewczę w ubiorze dość wytwornym, idącą z drugą podeszłego już wieku kobietą.

Spojrzał na nią — cofnął się, ośłupiał, patrzył i patrzył jeszcze, i patrzył i stał.

Zdało mu się że ją gdzieś widział. Kiedy? gdzie? nie umiał sobie wytłumaczyć i przypomnieć. Rysy te jednak były mu znajome.

Znajome? Gdyby je znał, mógłżeby je zapomnieć? Nie były mu one znajome, ale wyraz twarzy tej dziewczyny miał coś tajemniczego w sobie, coś jakby znajomego dla mistrza, jakby długo oczekiwanego, przeczuwanego. — Nie była to piękność mieszczańska, która żyć poczyną tak młodo i tak żwawo życie zjada, nie były to owe rysy piękne a jednak zepsute serce zwiastujące i czemś nieszlachetnem nacechowane — owszem, twarz jej była życia dojrzałego, w samej sile, pełna, a razem wyrazu jakiejś wyższości i dumy. Czoło miała wyniosłe, białe i gładkie, oczy czarne, ognia pełne, usta małe, ledwie znaczne, różowe, pogardliwie nieco wzniesione. Chód jej i postać godziły się z twarzą. Był to chód królowej, była to postać wielkiej pani.

Nie umiał sobie wytłumaczyć mistrz, dla czego tyle kobiet przejrzawszy ku żadnej nie uczuł tego co dla tej, a żadna go jednak tyle co ta nie przestraszyła.

Kobieta przechodząc ledwie na niego rzuciła okiem, ledwie spojrzała i to tak tylko jak patrzała na mur, na ziemię pod nogami, na drzewo. Powróciła do zamku.

Twardowski pośpieszył za nią, dowiadywać się od sług, kto ona była. Miarkując z postawy, wziął ją za córkę wojewody, ale prędko się dowiedział, że wojewoda tak dorodnej córki w domu nie miał. To go trochę pocieszyło, bo już czuł że wielka owa spodziewana miłość przychodziła do niego.

— To — sierota, szlacheckiego rodu, którą pan wojewoda wziął na opiekę, do domu swego. Ma ona tam krewnych jakichś w Krakowie, i wkrótce zapewne do nich powróci.

Twardowski pilnie się badał o krewnych, zapisał sobie ich nazwiska; a choć czatował i na pannę, żeby ją drugi raz zobaczyć, nie mógł się już z nią spotkać

nigdzie. Przestraszała go jej mina dumy pełna, ale zapalony wmawiał sobie, — jeśli nie przez miłość, to przez szatana, mieć ją będę! przez krew, przez śmierć, przez zbrodnią, przez truciznę, przez zdradę — ale musi być moja! Na wszystkie piekiel męczarnie klnę się, będzie moja ta królowa!

I w takich to myślach, oglądając się na czerwone mury zamku, odjeżdżał do Krakowa.

ROZDZIAŁ V.

Krewni panny Agnieszki.

Nie w smak w Krakowie były mistrzowi witające go biesiady przyjacielskie i tłumne zgromadzenia — myślał tylko o pięknej swojej sierocie, i cały zajęty myślą zbliżenia się, poznania jej, wysyłał szpiegi, dowiadywał się ażali nie przyjechała, chodził szukając wieści o jej krewnych, o niej samej. — Jej nie było jeszcze, lecz ukartowawszy plan swój, Twardowski miał czas poznać się z jej krewnymi, do których powrócić miała, aby potem miał wstęp do domu gotowy, jako dawniej już znajomy, i aby jego stosunki nie wydały tak oczewiście zamiarów. Z mocnem więc postanowieniem zabrania przyjaźni koniecznie, udał się tam mistrz.

Ci krewni byli to wprawdzie mieszczenie, ale przyjeżdżący do szlacheckiego herbu Poraj, bo się zwali Porajami. Familia ich tego czasu znacząca była w magistracie krakowskim, bogata, choć bogactwo zebrała handlem, dom miała zasobny i należący do pierwszych w mieście. Szlachta chociaż trochę Porajów z wysoka traktowała, gdyż dziad łokciem mierzył, czego dowodem żywym był jeszcze sklep w ich kamienicy na dole, w którym prawda nie handlując, tylko go już najmowali, — szlachta mając wzgląd na to że przestali się zajmować zupełnie, a mieli jedną i drugą wioskę w pobliżu Krakowa, z której służbę sprawowali, poczynali się codziennie chętniej bratać z niemi. Głową domu był Stanisław, stary, jak to zowią wyga, świadom dobrze wszystkiego w powszechności, co za jego czasów zaszło, gawęda nienasycony, nieprzezwyctiężony, niepokonany, umiejący na pamięć wszystkie wesole ba-

jeczki i wierszyki latające po świecie, rozprawujący zawsze głośno, lubiący wesołość, śmiechy i towarzystwo podobnych sobie. Pan Stanisław w chwilach wolnych od gawędy, nie znosząc próżnowania, pisał kronikę anegdotyczną swojego czasu, dniami prawie (niestety! zaginęła!) lubił odczytywać z niej przy zdarzonej okoliczności kawałki, a mianowicie te, w których moralne rozumowania poparte były i przyprawne jakby zamorskimi korzeniami, cytacjami Seneki, Titusa-Liviusza, Tacyty, Owidjusza i Virgiliusza, których pism ledwie że na pamięć pan Stanisław nie umiał.

Biorąc ściśle, był to człek powierzchowny tylko, deklamator więcej niż filozof, wesoły gaduła bardziej niż zastanawiający się nad rzeczami, historyk (a szło mu bardzo o tytuł historyka); próżny przytem był, bo lada pochlebcy wierzył, lada panegiryk go do szpikn kości pornszał. Tak zaś łatwo wierzył w zasługi drugich jak w swoje; lada samochwał, który się przed nim pod niebiosa wynosił, u niego łatwe zyskiwał współczucie; potem zaś już, gdy o kim się uprzedził, trwał w swoim zapamiętale i bronił gorąco swoich ulubieńców.

Pani Barbara, zacna jego małżonka szlacheckiego lecz ubogiego domu, wysoko bardzo swój niepokalany klejnot szlachecki i kolligacje ceniąca, zakochana w starym już mężu, jak to za dawnych czasów praktykowało się czasem, kiedy nie nowina była ujrzeć parę siwych gołębi, kochających się po młodemu, pomimo lat późnych — pani Barbara, w skutek przejęcia się assimilacji jakiejś i przywiązania, wierzyła także w p. Stanisława, jako w najrozumniejszego, najuczeńszego swego czasu człowieka. Zdawało jej się, że nad niego nikogo na świecie nie było, ani pod względem umysłowych zdolności, ani co się tyczy przymiotów urody nawet cielesnej; choć p. Stanisław Bóg wie jak już wyglądał. Wielka gospodyni z pękiem kluczków u pasa spędziła cały swój żywot, i położywszy się nawet w spokojnem małżeńskim łożu, śniła jeszcze o małdrzykach, antypastach, o apteczce, przez sen klóciła

się ze sługami, wykrzykując tylko niekiedy do męża: mój kotku! P. Stanisław poważną staropolską miłością na affekt jejmości odpowiadał, szacował wysoce jej przymioty gospodyni i żony, czasem skłaniał się nawet w dowód uczucia pocałować ją w czoło; lecz w wielkie tylko święta!! Nad tem zaś najgorliwiej pracował i mózg suszył, aby swojej współtowarzyszce nabić głowę wielkim rozumem i ważnością swoją, aby jej wpoić pewien rodzaj adoracji dla siebie.

I nie była to zła zasada, na której oparł teorię małżeńskiego pożycia.

Pan Stanisław z panią Barbarą byli bezdzietni; uboga sierota, którą Twardowski ujrzał w zamku wojewody, była krewną pani Barbary. Opiekował się nią wojewoda, dopóki żyła jego córka, której współtowarzyszką i przyjaciółką była panna Agnieszka; po śmierci jej, czasem jeszcze przybywała do zamku wojewody, swego dobroczyńcę zobaczyć i miejsca, w których najśłodsze przeżyła młodości chwile; resztę czasu spędzała w Krakowie przy pani Barbarze.

Lecz mówmy już o pannie Agnieszce. Była to cudna w swoim rodzaju dziewczka. Przyrodzenie dało jej bardzo wdzięczną postać, kibić wspaniałą, oczy czarne, a nadewszystko coś tak szlachetnego i wyniosłego wyrazu w twarzy, iż każdy zdawał się mały przy niej i z bojaźnią mimowolną na nią poglądał. Charakter też p. Agnieszki, odpowiadał w pełni powierzchowności obietnicom. Na owych czasów kobietę była zupełnie niepospolitem zjawiskiem. Choć sierota i uboga, ceniła się niesłychanie wysoko; zdawało się jej, że przynajmniej kasztelan jaki powinien był wejść z nią w śluby dozgonne. Lekceważyła mieszczan, śmiała się z pięknych chłopców, których zwała *łatkami* dla dzieci, gromiła gachów, odrażając ich od siebie żarty i grochowymi wieńcami.

Jednakże była uboga i sierota — ale piękna i szlachcianka.

Nad wszystko dziwiła w pannie Agnieszce jej niepraktykowana uczoność, która zapewne także nieco

dumy jej dodawała. Ceniąc wysoko księgi i nauki, naówczas prawie zakazany dla kobiet owoc, oddzielną jakąś wydawała się istotą, pośrednią między kobietą a mężczyzną. Prawdziwą jej rozkoszą było chwycić za słowa, prześmiewać i pylić nieuków i półmędrków. Prędko pomimo jej wdzięków uciekła od niej młodzież, pierzchnęli gaszkowie do innych łatwiejszych dziewczek, i w dwudziestu pięciu latach, których dochodziła właśnie, już ją byli wszyscy niemal opuścili. •

Wymawiał jej to surowo p. Stanisław, który znowu wzorem kobiet uważał panią Barbarę; a pannę Agnieszkę za jakieś *monstrum* tylko.

— Za co waszmość panna odrzuciłaś tylu zacnych mieszczan, tylu uczciwych kupców. Toć to już teraz nikt się o jej rękę nie zgłosi. Twarz gładką prędko lata poorzą, troski marszczkami zasieją, łzy doły pokopią, osiadasz panna na wieki.

Ona mu odpowiadała:

— Wolę ja zostać jak jestem, niżli żyć z jakim głupcem.

— To za grubo! głupcem? Śmiesz ich tak nazywać? Zacni to przecie ludzie o nią się starali, a niektórzy z nich i nie bez nauki.

— Życzę im szczęścia gdzieindziej i wielbicieli łatwiejszych odemnie — odpowiadała zimno Agnieszka.

— Cóż jednak poczniesz i myślisz z sobą dalej?

— Jeśli mnie waszmość dobrodzieje moi opuścicie, wejdę do klasztoru.

— Hm! hm! odpowiadał p. Stanisław, po cóż o tem opuszczeniu mówić! Nie myślimy przecie o tem, widzisz sama, a jeśli podaję ci refleksje, to nie w innej myśli, tylko aby cię nakłonić do ustalenia losu swego; bo kobieta póty nie może być bezpieczną, póki losu swego nie odda w ręce mężczyzny.

Zwał ją p. Stanisław pospolicie — *hic mulier*, a chociaż za rodzaj *monstrum* w porównaniu z p. Barbarą uważał, miał jednak dla niej jakąś słabostkę, bo ona cierpliwie słuchała jego kroniki i cytacyj.

Jakeśmy widzieli z tego urywku rozmowy, p.

Agnieszka, ze swej piękności jeszcze nie zwiędłej i rozumu tak niepospolitego naówczas w jej płci i stanie, wysoko się niezmiernie ceniąc, z góry bardzo na świat patrzała, mało się wreszcie troszcząc o to, że jej lat przybywało, że ją opuścili mężczyźni; pocieszając się księgami i szyderskim przekonaniem o nikczemności tych, którzy ją ocenić nie potrafili. — Może jeszcze miała nadzieję — bo i najpoważniejsi i najrozumnijsi niemi się łudzą.

Taka to była ta piękność, którą na pierwszy rzut oka pokochał Twardowski tak gorąco, tak gwałtownie, jak dotąd jeszcze nikogo.

Wróciła nareszcie panna Agnieszka do Krakowa, a przez przekupionych wcześniej sług, zaraz się o tem dowiedział Twardowski. Tegoż zatem wieczora, jakby nic nie wiedział, w licznym poczie, w bogatym stroju, nie raz się przejrzawszy w zwierciadle, udając że jedzie z odwiedzin na wsi, zajechał do p. Stanisława.

Zwyczajem swoim zasiedli do uczonej rozmowy, do wesółych gadek, któremi gości swoich tak obficie raczył gospodarz. Weszła i p. Agnieszka do izby, bo tu krośna jej stały u okna przy krośnach pani Barbary.

Naówczas zapoznał ją gospodarz ze swoim gościem, szeroko rozwodząc się nad jej pochwałami. Panna Agnieszka przypomniła mistrzowi, że go widziała już w zamku wojewody. — To połechtało dumę mistrza i napełniło go otuchą. Nie postrzegł, że wspomnienie o zamku wojewody wywiodła panna dla tego tylko, aby się ze swemi związki pochwalić.

Uradowany dobrym początkiem mistrz przysiadł się do niej.

Inna to była wcale dla niego, niż dla pospolitych gachów, niewiasta. Zdziwił się mistrz, który już wiele o niej słyszał, i bardzo się jej lękał, znajdując ją tak wesolą, tak miłą, gdy się spodziewał tylko dumnego szyderstwa. Lecz mądra, o mądra była panna Agnieszka, a Twardowski ślepy! On nie widział, że ona nie młodego, przystojnego zalotnika i kochanka, ale sławnego w nim przyjmowała mędrca, czcząc

w jego osobie bóstwo swoje — żądę sławy i wzniesienia się. Łagodną mu była i powolną, bo w nim знаła wielkiego człowieka — pochlebiało jej że ten dziw wieku, siedział przy niej i z nią na słowa walczył. Dumna dziewczyna, ze swej strony już nawet snuła projekta wplątania go w miłostki, tak jak on chciał ją wplątać. Ale z tą różnicą, że ona czyniła to tylko przez dumę, a trochę może marząc i o bogactwach mistrza, o których dziwy pletli; on zaś był na ten raz szczerze i zapalczywie rozmiłowany w niej. Zdawało się pannie Agnieszce, że jeśli kto to ona powinna go była usidlić — największa z kobiet (tak się ceniła) najślawniejszego z mężczyzn. — Wszystko czem kobieta zręczna pociągnąć może, wejrzenia, słowa, pochlebne wyrazy, wszystko użyte zostało. — Mistrz pełen radości odjeżdżając z przed bramy kamienicy p. Stanisława, jeszcze mocniej palił się żądzą posiadania tego cudu wdzięków i mądrości, które pozyskanie nierównie mu się teraz łatwiejszem wydawało niż wprzód.

Oboje zarówno marzyli o sobie. Dobry był początek. Lecz gdy mistrz rozważał jej wdzięki, jej twarz, kibić, chód, szlachetną postawę — ona myślała tylko o jego wielkiej sławie, imieniu i bogactwach. Była to zimna kobieta, której tylko powierzchowność szczęścia i częste uwielbienia tłumu wystarczały do życia. Bardzo się mylił Twardowski, czytając w jej oczach zaród miłosnych ogniów — była w nich duma, upodobanie blasku, pragnienie wywyższenia się, ale ani śladu namiętności cielesnej lub serdecznego przywiązania. Uczucia te przyschły w zarodku, a piękna Agnieszka, tak była zajęta wielkościami, iż dla pozyskania ich wszystko by była w życiu poświęciła, marząc nie raz we śnie, marząc nawet na jawie o koronach, o oklaskach, o podziwieniu tłumu, sławie i bogactwach.

Jak mógł tak wielki mędrzec tak bardzo w wyborze i poznaniu charakteru kobiety omylić się? — tego nie wiem. Szatan to chyba mógłby wytłumaczyć, który zapewne zaród namiętności w serce jego rzucił, mając w tem swój tajemniczy rachunek.

ROZDZIAŁ VI.

Jako szatan radził Twardowskiemu w jego miłości.

Poczęły się od tego pierwszego poznania coraz widoczniejsze miłości, z którymi się obie strony nie kryły. Mistrz nawet biegał do kościołów, aby ją częściej widywać, chociaż ile razy chciał, widywał ją w domu; uczęszczał także na przechadzki i całkiem prawie swój czas tej miłości poświęcił. Każdy dzień zbliżał ich i poufałił z sobą. Dziwił się tylko mistrz sobie, znając nieco lepiej kobiety, czem się to działo, iż panna Agnieszka, o której życzliwości dla siebie nie mógł wątpić, tak go onieśmielała, iż dotąd o miłości wyraźnie słowa jej wyrzec nie śmiał. Ale cóż tu by były znaczyły słowa, przy tak jawnie już zaloty wykrywających czynnościach?

Panna Agnieszka zaś, nie tylko że nie była umyślnym powodem tej nieśmiałości mistrza, lecz sama niecierpliwie oczekiwała oświadczeń, a często nawet wyprowadzać go na nie próbowała. Mistrz zaś czy to z nieśmiałości jakiejś dziwacznej, choć gorzał miłością, czy z jakiej rachuby — nie wiem — zwlekał stanowcze słowo.

Odbywała się w nim niepojęta walka.

Z jednej strony stawał do boju szatan ze swoim natchnieniem, z drugiej miłość — uczucie zawsze mniej więcej szlachetne i prawe. Walka toczyła się o to, czyli mistrz miał się żenić, czy tylko kochać? czy panna Agnieszka miała być jego żoną czy tylko kochanką?

Łatwo każdy pojmie, że gorącej miłości niedość było przemijającego tytułu kochanka. Zdawało się mistrzowi (jak się to wszystkim w takim przypadku

zdaje) że z równą siłą kochać ją będzie wieki — chciał więc mieć ją żoną.

Szatan mocno się temu przeciwiał, i on to zapewne oświadczenie stanowcze swojemi podmuchami wstrzymywał.

Mistrzu, mówił mu, miarkuj się, rozważ, to niesłychane dzieciństwo, stracisz na sławie, stracisz na szczęściu, zwiążesz sobie ręce jedną kobietą, dasz jej prawo do twego życia, czasu, zatrudnień, majątku, wszystkiego; uczynisz się dobrowolnie lichym niewolnikiem jednej ładnej twarzyczki, z swobodnego króla! Nie dziwię się że jej żądasz, że ją chcesz posiadać, ani się temu przeciwie — ale na cóż te śluby? na cóż dozgonny węzeł, który tylko bez niebezpieczeństwa może wiązać uczciwych mieszczan i godnych pasibrzuchów? ci bowiem potrzebują niewoli, nie potrafili by żyć bez postronka na szyi. Miarkuj tylko mistrzu, chciej rozważyć całą sprawę, nie będzie-li to małżeństwo rodzajem przeniewierzenia się piekłu z twej strony?

— Masz moją duszę, ja mam tymczasem moją wolę, odpowiedział Twardowski, daj mi pokój, uczynię co zechcę.

— Tać! zapewne, rzekł szatan — ale na bok interesa piekła, mówię tylko w twoim własnym. Chcesz-li ty koniecznie biedy, kłopotu, niewoli, dzieci i życia w troskach i znoju, zaprzedanego za dwa kwadranse śmietanki a długie lata mętów paskudnych? Chcesz-li żeby ci nawet niewolno było być szczęśliwym jak ci się podoba, gdy wszystkiem będziesz się musiał dzielić na dwoje?

Znasz-że ty zresztą tę pannę Agnieszkę, wielkie twojej wyobraźni cudo?

— Doskonale! odpowiedział mistrz. — Jest to jedyna na ziemi kobieta, której ciało równie jest piękne jak dusza. — Naczynie i napój odpowiadają sobie.

— Doprawdy? zawołał szatan ze śmiechem; cha! cha! sama zapewne uosobiona doskonałość, porachuj się z sobą, czy cię potrafi uszczęśliwić? Czy ona się

zgodzi z tobą? Tyś zwykł do swobody, ona do regularnego życia, jak zegar ratuszowy, który swoje dwadzieścia cztery godzin wybiwszy, znowu od pierwszej niechybnie zaczyna. Ty dotąd nie znałeś nocy i dnia, nie znałeś koniecznego przeznaczenia godzin tej nieznośnej niewoli, nie znałeś żadnego musu, jadłeś, piłeś, spałeś, dumałeś gdy ci się podobało. Na potem będziesz tylko o tyle swobodny, o ile ci pozwoli twoja pani. Wyliczą ci godziny snu, jadła, kochania, uścisków, myśli i pracy. Każą ci iść spać gdy się jejmość położy, jeść gdy będzie jadła, cieszyć się gdy będzie wesola, płakać gdy będzie smutna, ścisnąć gdy zapragnie uścisku. Nie będziesz już sobą, będziesz tylko jej cieniem, dopełnieniem jej, glossą przy tym żywym tekście. Gdy będziesz dumać o wielkich przedmiotach, ona ci pod nos podetknie podarty twój kubrak, z wymówkami za zbyt prędkie jego znoszenie; gdy zaśniesz po trudach małżeńskiego życia, zbudzi cię pytając, co jutro będziesz jadł, opęta cię, obejmie, usidli, zwiąże i umęczy.

— Dajże mi pokój z twemi przywidzeniami niewoli, rzekł Twardowski. Nie chcę jej mieć inaczej tylko ślubem.

— Przyznam ci się, odpowiedział Ijabeł, że inaczej jak wykradzioną mieć nie będziesz, bo choć ona cię żąda gorąco, choć p. Stanisław cię lubi — wiesz zapewne że pod tym tylko warunkiem zapisuje jej z żoną całe swoje mienie, aby szła koniecznie za ich krewniaczka, bogatego kupca. Jest on tak przynajmniej bogaty jak ty w oczach ludzi. Żadna zaś kobieta, nie rzuci pieniędzy dla miłości, chyba piętnastoletnia przepiórka, twoja zaś ma coś więcej podobno nad piętnaście. Jeśli masz łaski u niej, to tylko dla sławy twojej; ona cię kocha, boś wielkim człowiekiem, a zapewne nie szkodzą i wieści chodzące o twej zamożności. Co się tycze jej, ona się ku tobie skłonić może, ale mówię ci przyczyny dla których nie zgodzą się jej krewni.

— Więc ją wykradnę, rzekł mistrz, ale muszę się

ożenić — ona inaczej, ręczę, nie zechce być moją i nie będzie.

— Hm! rzekł djabeł po namyśle. Trudna z wami rada. Bierzcie przynajmniej gdzie ślub w lesie, w pustelnicznej chacie, albo w jakiej na rozdrożu opustoszałej kaplicy. Ja się już dla was za księdza przestroję; ty będziesz mógł powiedzieć, żeś mnie tam wezwał z klas:toru od św. Bernardyna.

Twardowski zamilkł, nie na to nie odpowiedział, spojrzął na djabła i spuścił oczy, djabeł mówił dalej nie zmieszany.

— Nie wszystkoż ci to jedno?

— Oszukiwać!

— Miłość uczyniła cię mistrzu do zbytku trwożliwym. Dość na tem, że ślub będzie wedle formy, a gdy zechcesz ją potem porzucić.

— Porzucić! ja ją porzucić! zakrzyknął Twardowski wielkim głosem.

— No, no! nie krzycz tak bardzo i nie dziwuj się mojemu śmiałemu przypuszczeniu — powiesz jej potem, że djabeł ślub dawał. No — i kiedyż ją wykradniesz?

— Powoli, powoli! odpowiedział mistrz, jeszcze z nią o tem ani słowa nie mówiłem, ani słowa nawet że ją kocham.

— Zda mi się, że już chyba nie powiesz, jeśliś tego dotąd nie uczynił, rzekł djabeł — ale możesz się obejść bez słów, jeśli cię one tyle kosztują. Można pismo posłać. Nadewszystko, dodał życzliwy doradzca, szafuj bez końca obietnicami zapisów, pieniędzy i t. d. — To nigdy nie szkodzi z temi ziemskimi aniołami. Potrzebują one złocić sobie skrzydełka, żeby się wydawały piękniejsze, a nie ma pozłoty gdzie nie ma złota.

ROZDZIAŁ VII.

O dziadach i babach i jak Twardowski użył starej Kachny.

Twardowski po odejściu djabła, a raczej tylko po zniknięciu jego, (gdyż szatan podobno nigdy go nie odstępował), rozważył dobrze jak mu postąpić wypadało, uczuł że nie będzie mógł się nigdy zebrać na śmiałość oświadczenia pannie Agnieszce, i postanowił wyprawić do niej pismo.

Ułożył więc je, i w niem odmalował swoją gorącą miłość, zresztą widoczną oddawna; przyrzekał jej złote góry dostatków, niebieskie swobodne życie bez końca, szczęście bez chmury. — Uznał słuszość djabelskiej rady i nie zaniedbał także wysoce podnieść stan swojego majątku, zapewniający im i wybór rodzaju życia i zupełną swobodę, bez żadnych obowiązków pracy. Nareszcie proponował Agnieszce, aby w sobotę z nie-szporu, który u panny Marji kończył się zwykle o zmroku, dała się uwieść w przygotowauej kolasie ludziom na to nastawionym. Zaręczał Twardowski że natychmiast ślub wezmą i prosił wreście, aby czyniąc wybór między bogatym i młodym głupcem, a bogatym i młodym filozofem, przeważyla też ua szali przyszłość jednego i drugiego i nadzieje ich obydwóch. Chociaż wiem pewnie, że djabeł tego listu nie dyktował, ostatni jednak argument, gotówbym z trafności jemu przyznać.

Gdy pismo zostało skończone i czytelnie na liście papieru białego wykaligrafowane, tym charakterem XVI wieku, tak czystym a jednak niewyraźnym; zakłopotał się znowu mistrz wyborem postańca, któremu by je powierzył, aby pięknej oddał Agnieszce z przyzwoitą

ostrożnością, tajemniczo, roztropnie, ani przybyciem swem w niezwykłą porę, ani postacią swą nie obudzając podejrzeń, które p. Stanisław przenikliwy i nie-dowierzający z natury łatwo mógł powziąć, gdyż się już poniekąd i zalotów domyślał i wiedział jak krewna jego nie życzyła sobie kupca za męża.

Po długim namyśle wpadł Twardowski na szczególny wniosek. Wybrał na to poselstwo starą żebraczkę, babę, znaną w całym Krakowie z gadatliwości i mniemanych czarnoksięzkich wiadomości, we wszystkich domach dobrze przyjmowaną, znającą wszystkie progi od chat przedmieścia do pałaców i zamku, pośredniczącą nie w jednych miłostkach. Nim poznamy naszych czytelników osobiście z tą postacią charakterystyczną owych czasów, której podobne i podobni składali w narodzie klasę oddzielną, pośredniczącą między ludem a klechą i księdzem, pozwólmmy sobie odskoczyć w bok i pogadać o dziadach i babach.

Żebracy stanowili w Polsce jak wszędzie, od najdawniejszych czasów (bo od pogańskich jeszcze) osobną klasę, obyczajami, zajęciem, uprawą umysłową, fizjonomją swoją, od innych wielce różną. Poznanie tej klasy dziś nawet nie jest bez ważności dla historii obyczajów. Oni niejako pośredniczyli między ludem a duchowieństwem, jeszcze zaś bardziej między ludem a klechą. Od klechy do dzwonnika, od dzwonnika do dziada a kruchty, nieznaczne tylko było przejście. Z jednej strony dziad-żebrak, opierał się o lud z którego wyszedł, z drugiej o kościół i sług kościelnych, do których się liczył, żyjąc także z modlitwy i jałmużny. Żebracy stanowili niejako ostatni poziomy szczebel sług kościelnych, byli ludu lekarzami, doradcami, swatami, kumami; od kolebki do mogiły, dziad i baba co chwila potrzebni byli dla chłopka. Baba przyjmowała dziecię gdy się narodziło, baba obmywała zziębłe ciało gdy umarł, kładła go w trumnę i śpiewała nad nim wigilje, których nie było czem księdzu zapłacić, a żebrakowi dzban piwa i garnek kaszy nagradzał. Cokolwiek więcej w istocie mając oświaty, a udając ta-

jemną wielką naukę, składającą niby tradycyjalny skarb kasty, wygrywali żebracy przed ludem łakącym cudownych pomocy, pokładającym w nich nieograniczoną wiarę, dla tego że lud zawsze gotów jest chwycić wszystko, co mu podaje jakąkolwiek polepszenia nadzieję.

Różne były przemysły żebraków, różne przez nich używane sposoby wciskania się do domów, przypochlebiania wszelkim stanom i różnych lat ludziom, wzbudzania litości, wyżebrania jałmużny. Tym, którzy wierzyli w czary i sympatyczno-tajemnicze leki (a któż w nie jeszcze w XVI wieku nie wierzył, poczynawszy od biskupów, aż do króla?) przysługiwali się zioły, maściami, napojami, zamawianiem i t. p., pobożnym płacili za datek modlitwą, do bogatych wolali o litość zmyślając sobie rany, choroby, boleści, kalectwa, częstokroć zrecznie naśladowane. Najpospolitsze żebraków choroby były: — *Boża kaźń*, *obłąkanie*, niemota, głuchota, ślepotą, wrzody, rany przykładaniem jaskieru zrobione, choroba ś. Walentego, zwana pospolicie Walantym.

Strój dziada był rozmaity, najpospoliciej jak najnędzniejszy łachman go okrywał, płaszcz łatany, umyślnie obłarty. Dodatkiem do niego bywały szczudła, bielagi czyli sakwy, *katwica*, pudło zgięte noszone na plecach; odkryte i poraunione nogi, obnażone piersi, potargane włosy, twarz dziko wykrzywiona, oczy krwią zaszłe, broda rozsunięta na piersiach, głowa związana lada szmatą dziurawą, kij czyli kostur w rękę.

Inni udawający pielgrzymów lub istotnie pielgrzymujący z Polski do Rzymu, wcale się odmiennie odziewali, aby się od pospolitego żebractwa odróżnić. Oni stanowili arystokracją dziadowską. Nie wychodzili inaczej z kraju jak z listem od rady miejskiej lub innego urzędu pod pieczęcią danym; miewali też przepisana sobie drogę na papierku, o którą się wszędzie troskliwie wypytywali. Ci ubierali się jak inni prawie pielgrzymi obcych krajów, nosili ciemne szerokie płaszcze, tłumoczki ze skóry na plecach, kapelusze ze

sznurkami, u pasa wiszące paciorki, czaszę miedzianą do czerpania wody, w ręku wysokie maczugi. Chodzili najczęściej parami, długo wprzód wędrując po kraju, nim się puścili do Rzymu. Księża, gdziekolwiek przybyli, zalecali ich z ambon litości zgromadzonych jako podróżujących w celu pobożnym. W czasie nabożeństwa siadali w kruchtach kościelnych, modląc i śpiewając, sprzedając pisane supplikacje, które rozdawali wchodzącym i wychodzącym, wielkim głosem dla zwrócenia uwagi intonując pieśni pobożne. Niżej powiemy o miejscach, do których żebractwo najwięcej uczęszczało.

Inni byli dziadowie chodzący po kraju z puszką, skarboną, po kweście dla pogorzałych i podupadłych kościołów, na dachy, na organy, na szpitale i t. p. Nosili oni puszkę na szyi zwieszoną i stawali po plebanjach wypraszając sobie także, aby ich plebani z ambon zalecali. Historje dziadowskie wzmiankują nieraz o wytrzeszanych puszkach kwestarskich i podstawionej ręce zamiast skarbony.

Inni jeszcze byli kalecy z profesji, udawający lub czasem istotnie chromi, głusi, ślepi i niemi. Ci którzy mieli *Bożą kaźń* albo tak zwaną chorobę Walantego, starali się najpotężniej rzucać, krzyczeć, targać w czasie samego nabożeństwa — w kościele, leżąc na smętarzu, aby okrwawiwszy się, prędzej litość pobudzić.

Drudzy odkrywali rany żebrząc, albo udawali szalonych, wyjąc, krzycząc niezrozumiale, wywracając oczy, bełkocząc. Byli i tacy, co po wsiach i odosobnionych miejscach, upatrzywszy dogodną porę, gdy w chacie *samego* nie było, przywiązawszy sobie kawał wilczego ogona, wyjąc jak wilcy, przychodzili udając wilkołaków. Postrzegłszy ich gospodyni, zapierała drzwi i okna z wielkim strachem, podawała co prędzej gomółkę. Wilkołak nie chciał chleba, wyjąc groził że pójdzie w pole do bydła, jeśli mu co lepszego nie dadzą na zaspokojenie głodu; aż wytargował lepszą strawę u niebogi. Czasem gdy mu się udało napaść wieśniaczkę samą jedną, wpadł nim drzwi zapała, zżymając się i oczyma łupiąc, mruczając coś pod nosem, rzucając szczy-

ptami proszek jaki w garnki; aż dobrze przestraszywszy i matkę i siedzące za piecem dzieci, odszedł z czem tylko chciał. Ztąd to poszło pewnie, że dzieci dziadami nie raz straszą, i nie bez przyczyny.

Było czasem ich interesem dostać sobie dziecię, aby nim także do litości nad swoim stanem pobudzić — kradli je więc, gdy swojego nie mieli. Rzadko się to jednak zdarzało, bo młodsze żebraczki dość płodne, chętnie sprzedawały zbywające dzieci starszym.

Byli i spokojniejsi, co woleli siedzieć nie włączając się nad drogami. Na to wybierali oni pospolicie miejsca u źródeł, za cudowne mianych, u figur i Bożej-Męki, na ludnych gościńcach. Tu modląc się, jęczeli, podawali wodę przychodzącym, pokazywali drogę nieświadomym. Wśród puszczy nie raz na rozdrożu, u starej figury, widziano chatę zawaloną w ziemię, mchem porośłą; na szelest przychodnia ukazywał się z niej siwy staruszek podparty na kosturze i wyciągał rękę.

Niektórzy stale się trzymali kościołów, zostawiali dzwonnikami, posługaczami, a na przyległej wsi mieli przywilej leczenia ludzi i koni.

Baby strój, z małą odmianą był taki jak dziada — łachmany, *łoktusze* zwane ich językiem, u pasa zawsze nieodstępny garnek, służący równie do okadzania od czarów i złego ducha, jak też do składania danej sobie strawy.

Baby siedząc pod kościołem śpiewały *Różany wianek*. Ich głównem zatrudnieniem było babienie, czary, leki, pilnowanie chorych ubogich szlachcianek przy połogach. W tym ostatnim przedmiocie chlubiły się osobiłszymi tajemnicami; wyraz *babienie* nawet śladem jest tych ich zatrudnień w języku. Baby i dziady najlepiej znali wszystkie ludu przesady, wszystkie złe i dobre wróżby, wszystkie ostrożności, jakie należało zachowywać, aby zło do domu nie weszło. Nosili z sobą świeczki woskowe, zioła różne (jak wyżlin i bylicę na przykład) maście na rany, wódki — kropili obory i stajnie, pasieki i barcie, wróżyli z dłoni młodzieży jak cyganie, po lasach wiązali drobne gałązki zapustów. obiecując z nich ogromne drzewa za trzy lata

i t. p. Oni to uczyli lud, że kto próżną konew spotka, ta mu wróży nieszczęście, że gdy co kracze w nocy na dachu, zapowiada także jakiś smutek, że we czwartek po południu nie godzi się prząść kądzieli, ani w piątek piec chleba, że rydel nie powinien nigdy stać w izbie, ani próżna pokrywa na stole, że źle jest izbę na wspak zamiatąć, że nie dobrze ciężarnym niewiastom za pogrzebem chodzić (w tem mogło być postrzeżenie nie próżne); radzili także czarownicom po śmierci łamać palce, żeby upiorem nie wstawały, żegnali chmury od gradobicia, żegnali dojnice i garnki dla obfitości w domu. Oni leczyli ludzi, oni leczyli bydło od najpospolitszych u nas jego chorób — *Kurdziela, Napaści i Nogcia*. Sposób jeszcze jakim rady podawali, miua tajemnicza, w obrzędach powaga jak przy najważniejszym akcie, mimowolnie wzbudzały wiarę u ludu. Lud też przypisywał im niesłychaną władzę, nieograniczone wiadomości, wiedzę wszystkiego — nie zawsze nawet za przyczynę tego podstawiał szatana, owszem u niektórych żebraków widział w tem pełną tajemnic nagrodę Boską, za ich nędzne życie, cierpienia, upodlenie, ubóstwo. Nie umiem bowiem inaczej wytłumaczyć wiary w ich modlitwy, z wiarą w ich cudowne leki i zamawiania.

Baby pospoliej niż dziadowie, trudniły się wszelkiego rodzaju lekarstwy i czarami, nigdy one, nie okurzywszy przynajmniej izby od *złego*, nie wychodziły z chaty, w której im dano jałmużnę. — Lud bojąc się jakiego nasłania, dawać musiał zawsze. Oprócz tego dawniej, kiedy jeszcze stany wszystkie mniej się od siebie oddzielały i więcej z sobą połączone były, dopomagały do strojenia się ubogim szlachciankom, piekowały ich twarz, uczyły brwi i włosy farbować, znały i udzielały miłośnych napojów, przynosiły zioła (często potrzebne) pomagające niepłodnością rozpustnemu życiu, także inne rzeczy tenże skutek wywierać mające, jako trzaski z trumny, mech z kościelnego dachu itd., które kładzono do łóżek — były powiernicami wszystkich dolegliwości, wiedziały wszystko, wpływały do

wszystkiego, co się w obrębie ich wędrowek działo. Złamał kto nogę — one zażegnwały ranę od ognia i puchliny, i one leczyły wrzody i wyrzuty, one umiały niepotrzebny płód zniszczyć, zapobiedz aby go nie było więcej, znały znowu sposób zaradzenia niepożądaney niepłodności kobiet a niemocy mężów, godziły, kłóciły małżeństwa, dawały rady względem wychowania dzieci. Nie raz namawiały na złe dziewczęta i ułatwiały chłopcom umizgi, przenosząc z obu stron poselstwa, namawiając, sprowadzając i t. p. Dziady czasem znowu zmieniając się w wendetarzy, trudnili się przekupstwem, tu żebrząc o łachman, lub chwytając ukradkiem, tam go znowu sprzedając. — Handel ich zależał na starem odzieniu, obówiu, świnkach, kurach; lecz najgłówniejszemi jego artykułami były różne leki, wódki, maście, wody z cudownych źródeł, świeczki, które sprzedawali na odpustach, wyrabiane z wosku nogi, ręce, serca — na wota do kościołów, krzyżyki drewniane. Wieśniacy wszystko brali i za wszystko płacili, czasem uboższa szlachta.

Każdą prawie babę miało pospólstwo za czarownicę — wierzył lud że one wszystkie, wywróciwszy koszulę na nice, w czwartek na młodziku wylatywały z izby średnim oknem lub kominem, na ożogu, na podgóorską granicę, że się udawały dla jakichś obrzędów na rozstajne drogi, że się stawały gdy chciały niewidzialnemi lub przybierały różne dziwaczne postacie zwierząt, kotów, kóz i t. p.; że mocą ziół jakichś otwierały zamki, po powrozach mogły wdrapywać się na wysokości, chodzić suchą nogą po wodzie; że mieszały zachwycenia, w których widywały cudowne rzeczy; że najpospoliciej zmieniały się dwa razy w miesiącu, raz na młodziku, drugi raz gdy księżyc schodził; że w nocy przybierały czasem postać śmierci, w południe przypołudnicy, wieczorem wiedmy lub latawicy. Latawiec, duch zły, był z niemi w szczególnej zażyłości i zgodzie, on także mienił się w różne postacie, sławny był z tego, że za prośbą lub umową nosił z cudzej spiżarni wszystko czego mógł dostać, dla swoich przyjaciół.

Lecz już dość wręście tego wyliczania — jeszcze

jedno i najgłówniejsze pono po babieniu zatrudnienie bab, było — obmywać umarłych, kłaść ich do truny i śpiewać nad nimi wigilje. Ledwie kto w chacie powieki zawarł, jedni ze strachu, drudzy z przywiązania nie mogli ostatniej oddać mu posługi, biegł parobek po babę, która zawsze do tego była gotowa, gdyż to było może najzyskowniejsze z jej zatrudnień.

Powiedziałem już że lud lękał się bab, którym przyznawał władzę narzucania paraliżu, głupoty, febry i t. p. wywarami z różnych ziół, zbieranych w pewną doterminowaną porę.

Baby i dziady po dwoje lub troje włóczyli się nieustannie z odpustu na odpust, z jarmarku na jarmark; rzadko razem szli w większej liczbie, bo by sobie sami przez to szkodzili. Ślepy ze swoim przewodnikiem, chromy i towarzyszy, głuchy z chromym, chodzili dziełąc się jałmużną zebraną, niekiedy drąc i kłócąc się o nią. Na odpustach niezliczone ich cmy zasiadały smętarze kościelne, śpiewając, wykrzykując, ukazując rany, ofiarując świeczki na sprzedaż, maści i leki, zioła, udając *Kaźń Bożą* obłąkanie, paraliż. Dzień zaduszny jest i po dziś dzień, jak był zdawna, wielkim dniem w roku dla żebraka, dniem najsutszej jałmużny za dusze zmarłe, którą każdy daje, bo każdy ma kogoś na tamtym świecie, po kim płacze, za którego pragnie modły zakupić

W Polsce najslawniejsze stekiem żebraków miejsca były — Częstochowa, nowa Kalwarja, św. Krzyż na Łysej górze, Leżajsk, Staszówka, Szczepanów, Gniezno na św. Wojciech, Pilzno na św. Jan, Rzeszów na sławny jarmark, Jarosław na N. Pannę Zielną, Przemyśl na św. Michał, Leki na św. Bartłomiej, Chełm w Lesie, Zawady za Dębicą, kościół św. Piotra koło Dobrzechowa i t. d. W Zawadach była niejaki czas figura ukrzyżowanego Zbawiciela cudowna, z której boku woda ciekła, a tę dziadowie roznosili i przedawali, gdyż lud wielce jej był chciwy. Prócz tego pielgrzymowało dziadostwo daleko w cudze kraje za chlebem, a najpo-

spoliciej do sąsiadów, wyrobiwszy sobie list pod pieczęcią. Tłoczyli się oni do Węgier, pod wielkim strachem (jak powiadali) przebywając napelnione hultajami Bieszczady; do Siedmigrodzkiej ziemi, do Wołoch; szli zdrowsi nieraz do Kozaków i tam przystawali, inni do Szląska, do Moraw. Niektórzy przy żebraniu trudnili się też przeprowadzaniem koni kradzionych, należąc do cygańskiej ligi, częstokroć nawet mniej świadome ich kupy wiodąc po kraju ubocznemi gdy tego było potrzeba manowcami.

Stykali się oni nieraz z możniejszą klasą, której byli potrzebni, do przenoszenia tajemnych korespondencyj, do szpiegowania wojsk, osób i t. p. Tak jeden z nich w XV wieku, przenosząc listy od Zygmunta cesarza do Krzyżaków, zmarł w drodze i tajemnica się wydała, inni (bo było ich więcej) umknęli. Tak książę Siemion Stucki przekradał się przez dobrze strzeżone bramy Lwowa do przyrzeczonej sobie księżniczki Halszki Ostrogskiej. Tu napomknijmy o zwyczaju trzymania do chrztu dzieci możnych przez dziadów, aby się hodowały. *)

Najpoetyczniejszą postacią u nas byli żebracy ślepi, dudarze i gęslarze, chodzący po wsiach i dworach z pieśniami narodowemi ludu i nabożnemi. Powiadają że zyskowna ta żebranina tak dalece była dobrym chlebem, iż zwykle syn po ojcu gęśle dziedziczył, a z nią ślepotę, umyślnie w dzieciństwie zrobioną.

Najrozwiąźlejsza klasa włóczących się dziadów miała służący jej, mianowicie do porozumień we względzie kradzieży, oddzielny i właściwy swój język, o którym wspominają dawni pisarze nasi, że nim rozmawiali niezrozumiani od nikogo. Był to język ich rzemiosła, który, jak język flisów, jak język myśliwych, miał i swoje własne wyrazy (poczęści) i więcej jeszcze składał się z pospolitych, którym nadawano dziwne znaczenie.

Z tego cośmy tu już napisali, łatwo poznać, jak że-

*) J. Żochowski.

bracy wielkie miejsce zajmowali w życiu prostego ludu, jak wielki nań wpływ wywierali. Baba przyjmowała rodzące się dziecię, baba matkę dozierała przy połogu, często bywała kumą, nie jeden raz potem swachą, nie jeden raz lekarką, a gdy umarł starzec, baba znowu omywała go, kładła do truny i śpiewała wigilje. Proste przysłowie — gdzie djabeł nie może, tam babę pośle — maluje jak wiele mogły baby. Gadki też gminne rzadko się bez pośrednictwa dziada lub baby obchodzą, tych tajemniczych postaci, niewiadomo gdzie urodzonych i nieśmiertelnych, bo zawsze po sobie następujących bez przerwy i końca.

Obyczaje tej klasy były jak najdziwaczniejszą mieszaniną nabożeństwa i przesądów, modlitw i występków. Usłużne żebractwo miało jakąś popularną gadkę na wymówienie każdego występkę, tak właśnie jak miało lekarstwo (mniemane) na każdą chorobę za kawałek chleba i kilka groszy; uspokajało nie jedno sumienie i nie jedną bojaźń chorobliwą rozpędzało. Tajemnicze życie, wiek, obyczaje, tradycyjne o nich powieści, wszystko w oczach ludu okrywało żebraków jakimś urokiem dziwnym, natchnąć umiało wiarę w gusła ich, bojaźń i uszanowanie pewne dla nich.

W istocie często straszna była zemsta tych ludzi, których z trudnością dotknąć mogły prawa, a żadna nie wstrzymywała popolicie wiara i sumienie. Nieraz rzucili ogień pod stodołę, ziele szkodliwe do jadła. — Jednem słowem, żebracy wówczas, tacy jakicześmy odmalowali, byli dla ludu ciągle niezbędnymi, czasem niebezpiecznymi, ustawicznie nasuwającymi się.

Inny nieco był żebrak właściwie miejski, lecz tylko o tyle, o ile wpływał na niego odmienny nieco rodzaj życia i otaczający go ludzie. Żebrak miejski trochę oświecieńszy, równie zepsuty, przebieglejszym był jeszcze od innych.

Żebracy w miastach prędko zbierać się zaczęli w kształt bractw, czyli cechów uprzywilejowanych. Mieli oni swoje wpisy, księgi, pisarza, urzędników, skarbone, biczowników, pilnujących aby obcy przybysze

miejskim chleba nie odbierali, zasiadając pod kościołami za jałmużną, lub włóczęc się po mieście. Już w XVI wieku poksztalciły się takie bractwa u nas, mające swoją gospodę do schadzek w mieście, obowiązane starać się dla członków swych o księdza przy skonaniu i pogrzeb choć w polu. Przybywający do miasta litownicy, którzy o okup jako więźnie, albo o pomoc jak pielgrzymi dopraszali się, prosząc o zalecenie ich z ambon, stawić się byli obowiązani wprzód do gospody brackiej i papiery swoje okazać, w mieście nie wolno było ran odkrywać i dzieci nosić. Co cztery pospolicie niedziele odbywały się schadzki, których protokół pisano. W czasie głodów tylko i morów, gdy niezwykle był napływ ludu do miasta, porządek ten ustawał.

Ubodzy szpitalni mieli sobie wyznaczony czas siedzenia na ulicach, pospolicie około Wszystkich Świętych i Wielkiej nocy. Starszyznę obierano z dzwonników, cerkiewnych, zborowych kościelnych.

Należący do bractwa siadywali niekiedy w budkach, umyślnie skleconych, przy kruchcie kościelnej.

W ogólności żebrak w mieście mniej miał swobody, baczniejsze magistraty nie dawały bróździć, pod karą pręgierza, chłosty i wygnania z miasta; w razie dowiedzionych czarów, lub tylko intencji — palono bez przebaczenia. Swobodniejsze było życie żebraka na wsi, w ciągłej wesołej od proga do proga pielgrzymce, po znajomej okolicy, gdzie często w starym dziadku starą witano znajomość. Że wpływ żebraków był demoralizującym dla ludu, niewątpliwa — nie jeden dał się im nawieść do zbrodni, nie jeden patrząc na nich zasmakował w próżniactwie, tułactwie i żebraniu; nie jednemu pomogli oni do ukrycia bezkarnego pierwszej zbrodni, co było zachętą do dalszych.

Oprócz tych, o jakichśmy wspomnieli stosunków z możniejszą klasą, przypomnijmy te, jakie się zawiązywały przy często w XV i XVI wieku zdarzających się ucztach dla żebraków, przez panów, duchownych, mianowicie biskupów, dawanych. Do tych policzmy i obrzęd wielkokozwartkowy.

Oświecenie tej klasy na czem właściwie zależało? Na umiejętności pieśni pobożnych, modlitw, litanij i t. d., znajomości tradycyj miejscowych, gadek, przysłów, piosnek ludu; tradycyjalnych także formułach czarnoksiężkich i guślarskich; na poznawaniu ziół i niejakiem ich własności różnych pojęciu. — Oto podobno wszystko. Dodamy tylko że baby uczyły się praktycznie usługiwać położnicom.

Taka to była ta klasa ludu, z której mistrz wybrał posłankę do panny Agnieszki.

Znał cały Kraków starą Kachnę, brudną, garbatą, lecz wyszczekaną, wszystko wiedzącą i chytrą babę. I lud na przedmieściach, i panowie po swoich kamienicach, witali ją jak znajomą. Jednym rozdawała leki, obiecywała modlitwy, drugich bawiła wesołemi plotkami i dowcipną gawędą, której nikomu, w często nawet przytomnym nie przepuszczała. Nie prosiła ona jałmużny, ale przychodziła po nią jak po swoją należność, targowała się jak o zapłatę. Słowem, długie lata praktyki żebrackiej, pewna znajomość ludzi z powierzchności ich (którą zawsze dziadowie i handlarze mniej więcej posiadają), przytem pobożność i nie splamiona dotąd żadnym wielkim występkiem opinja, nadawały jej śmiałość i jakiś całę odrębny postępowania sposób, który w skutek wymienionych przyczyn nikogo już nie dziwił.

Zwołał ją mistrz gdy szła przez ulicę.

— N. Pauno Częstochowska! zawołała drąc się po wschodach; czarnoksiężnik chce czegoś odemnie! No! no! to coś osobliwego, nigdym się nie spodziewała, że mu się mogę zdać na co!

— Niech będzie pochwalony! rzekła wchodząc do izby z niskim ukłonem.

Mistrz zaczął od wrzucenia jej w rękę obfitej jałmużny. Stara potrząsnęła nią na dłoni i spoglądając w oczy Twardowskiemu, spytała:

— Wszystko dla mnie?

— Wszystko dla ciebie! odpowiedział mistrz, ale nie darmo.

— Wątpię żebyś chciał modlitwy albo lekarstwa. W pierwsze nie wierzysz, a drugiego i sam masz podostatkiem.

— Zgadnij-że czego chcę od ciebie.

— A pokaż no mi dłoń, rzekła stara wyciągając rękę.

Twardowski podał ją z uśmiechem.

— No! no! odezwała się po chwili Kachna potrząsając głową; chodzi tu o jakąś dziewczynę, szyję bym dała.

— Zgadłaś stara! Chodzi o to żebyś to pismo odniosła pannie, która mieszka w kamienicy p. Stanisława Poraja, jego krewnie Agnieszce.

— Wolałabym pójść z tem pismem do panien fraucymeru królowej starej, jak do tej panny! Aj! dumna! bo duma! rzekłbyś że się urodziła na królowę. Bardzo się boję mój dobrodzieju, żebym tem pismem w łeb nie dostała i ze wschodów nie spadła.

— Bądź spokojna! szepnisz jej tylko od kogo! Chodzi tylko o to, aby cię nikt oddającą pisma nie zobaczył, albo nawet nie uważano, że masz do niej interes.

— O! mój dobrodzieju! odpowiedziała Kachna, czy mnie pierwszy raz! Jakem była młodszą, tom się ja umizgała, bo to mi teraz tego garba narosło; prosta byłam jak trzcina. Teraz na starość ludziom pomagać, i to jakoś lechce po sercu — kiedy ezłek pić nie może, patrzy przynajmniej jak drudzy piją. Już to nie chwalać się, w całym Krakowie i na Podgórzu, bo i w całej Polsce, nie ma do tego zręczniejszej ode mnie. Znają mnie tu dobrze wszyscy, a nie jeden, choć starą i śmierzdzącą, ucałował za dobrą nowinę. Bądźcie dobrej myśli, sprawię się należycie. Byłaby głupia, żeby z waszmością jeszcze stroiła ceregiele.

— Tylko pokornie z nią, zdaleka, bo wiesz że dumna jak królowa! rzekł mistrz — a nadewszystko ostrożnie.

— Bądźcie tylko spokojni! poznam ja ptaszka po

piórkach, a człeka po wejrzeniu — wiem z której strony począć! A wszystkie one, dobrodzieju, jednakowe, tylko każda z nich, jak wielkanocne jaje, inaczej po wierzchu malowana — w środku dalibóg to samo!

I śmiejąc się wyszła.

ROZDZIAŁ VIII.

Jaka była odpowiedź panny Agnieszki.

Niecierpliwie mistrz powrotu Kachny wyglądał, ale tego dnia nie przyszła. Nazajutrz dopiero po cichu, niby pacierze klepiąc, wcisnęła się na wschody, a tak tam krzycząc pasowała się z broniącą jej przystępu czeladzią, że głos usłyszawszy mistrz, wybiegł sam z komnaty. Ona jęła dopiero sługi łajać, a mrugać na mistrza, aby ich porozpędzał.

Skinął Twardowski — ustąpili. Dopiero kiwając głową i wlepiwszy w niego szare oczy zaczerwienione, rozwinęła płachtę brudną, z której wydobyła zwinięte pismo.

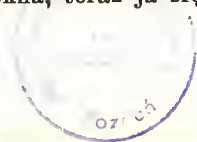
Porwał je skwapliwie mistrz i z bijącym sercem czytał.

Zgadnijcie co w niem było.

Agnieszka przyjmowała podany projekt, ale pod przysięgą ze strony mistrza, że zaraz ślub wezmą. Kto by był sądził z pisma mógłby sądzić, że miłość tego cudu u dumnej dziewczki dokazała. Nie tak jednak całe było! Sercu jej dogadzały bogactwa narzeczonego i jego wielka sława.

Nie posiadając się z radości, Twardowski jakby oszalały, rzucił starej Kachnie kiesę z pieniędzmi. Porwała ją chciwie baba z iskrzącymi oczyma, ale chwytając go pod suknię i fartuchem do skórzanych kieszeni, te jeszcze słowa powiedziała:

— Szczęść że wam Panie Boże! boście warci szczęścia, i umiecie biednemu ciężką pracę nagrodzić, nie tak jak drugi, co jeszcze nałaje i nawymyśla, żeby mu mniej dać uszło. Ale bez uroku (i tu splunęła) choć *wasza* bardzo piękna, teraz ja się jej przypatrzy-



łam, ale do paralusza dumna. Na kiegoście bo kaduka pokochali się w tej królowej. Niewygodne to szczęście, co mu się kłaniać raz w raz potrzeba i klęczeć przed niem.

Twardowski dał jej znak ręką aby zamilkła, i nie nie odpowiedziawszy, wpadł nazad do komnaty. Z wielkiem podziwieniem swoim zastał w niej bernardyna, który z pokorną miną stał za stołem.

— A waszmość co tu robicie i któredyście tu weszli? spytał zdziwiony, stojąc na progu.

— Gotów jestem choć zaraz ślub dawać, odpowiedział zakapturzony mnich. Potem zsunawszy kaptura i ukazując szyderskie rysy szatańskiej twarzy — dodał:

— Wszakże masz już słowo panny Agnieszki.

— Zkądże o tem wiesz?

— Wie już o tem cały prawie Kraków, bo stara Kachna idąc, komu mogła śpiewała tę nowinę w uszy po drodze.

— A niechże ją ubiją, tę starą żmiję! krzyknął mistrz porywając się i wybiegając na wschody. Ona mnie zgubi swoim językiem. Do soboty jeszcze dwa dni.

Wnet wysłał sługi, ale ci nie dogнали Kachny, która wpadłszy do najbliższej gospody, pić ze swemi poczęła i już zabierała się z pozyskanym posagiem, a garbem w dodatku wyswatać za młodego ślepeca, który jej się bardzo podobał.

Powrócili z niczem, gdyż szukali na ulicach, gdy ona piła w karczmie pod bokiem. Mistrz srodze się frasował.

— Nie bój się niczego, odpowiedział mu djabeł, od tych którym ona to rozplecie nie dojdzie wiadomość do p. Stanisława, a panna Agnieszka pewnie ci słowo strzyma. Daj tylko Boże, abyś z nią był tak szczęśliwy, jak dziś masz nadzieję. Co ja, to płaczę nad tobą, żal mi żeś się tak dał związać i opętać! Ale kiedy już masz ginąć, dla jednej nocy wesołej, niechże ja ci dam ślub przynajmniej. Widzisz że jestem choć w tej chwili gotów!

— No — no — *Vade retro* i zostaw mnie samym, odpowiedział mistrz — mam wiele do czynienia. mnóstwo przygotowań.

— Powierz mnie co do roboty! potrafię ci być użytecznym.

— Ty tylko dopomożesz mi ją uwieść — postawisz konie i będziesz przewodnikiem do kapliczki w lesie. A teraz powtarzam ci: *Vade retro*.

To mówiąc Twardowski klasnął na sługi, począł wydawać rozkazy, tych konno, tych wozami w różne strony porozsyłał, innych pieszo w miasto. Dwóch diabłów także za jakimiś ingrediencjami poleciało. — Ruch nieustanny i przybory trwały w domu mistrza aż do soboty i owych niesporów.

ROZDZIAŁ IX.

Jako się Twardowski ożenił, i co było na weselu.

Przed kościołem Panny Marji w Krakowie, stała poczwórna kolasa. Konie w niej były kare, bez żadnej odmiany, rosłe fryzy, bogaty na nich szór, woźnica zakapturzony w ciemnej barwie, dwóch obok pacholków konnych. U stopni stał wysoki mężczyzna uwinięty szerokim czarnym płaszczem, w kapeluszu z piórami czarnemi. — Niekiedy zachodził on przed konie, jakby się im przypatrywał, niekiedy znówu stawał na stopniu, a w chwilę pędził po krążganek kościelny, wyglądając końca nieszpórów.

Był to Twardowski, kolasa czarna miała uwieść pannę Agnieszkę z kościoła. Zmierzchało właśnie, ostatki czerwoności słonecznej dogorywały na zachodzie, w kościele dzwoniono we wszystkie dzwony na *Magnificat*. Liczny tłum bab i dziadów, nie mogących znaleźć miejsca w kruchcie kościelnej, lub nie mających prawa żebrać jałmużny u drzwi, snuł się na placu przed kościołem, napelniając powietrze śpiewem wrzaskliwym i jęklivemi prośby wykrzyknikami, a nawet przekleństwami.

Dalej nieco stali słudzy, konie jezdne i kolasy. Między niemi wszystkiemi celował zaprząg i powóz mistrza, już to pięknoscą fryzów i kolasy, już dziwnym wyborem czarnej barwy, która raczej kondukt pogrzebowy niż wesele przypominała.

Skończył się wreszcie nieszpór, lud tłumnie z kościoła wysypywać się zaczął, Twardowski odepchnięty ode drzwi, niespokojny, z okiem wlepionem w wychodzących, szukał panny Agnieszki w tej ciżbie, z którą mnóstwo ubiorów i twarzy przesuwało się z szybkością

przed nim. Kilka razy omylony chwycił obce osoby i odskakiwał od nich, szukając swojej w innej stronie. Nareszcie gdy wszystek tłum wypłynął, i pojedynczo tylko przypóźnieni nabożni wysuwać się zaczęli, postrzegł mistrz między nimi jaśniejące oblicze panny Agnieszki, ożywione, pogodne, jak gdyby w najspokojniejszej chwili życia, jakby nie o krok od wykradzenia, ucieczki i potajemnych ślubów. Wnet poskoczył mistrz za nią, i za długi wiszący rękaw jej sukni, kłaniając się nisko, z lekka zatrzymał, szepcząc:

— Wszystko gotowe!

— Spodziewałam się tego, odpowiedziała spokojnie — jedźmy!

I wiedziona przez mistrza zbliżyła się do kolasy. Słudzy podnieśli ją na rękę i posadzili, Twardowski skoczył na podanego konia, zawrócili w ulicę i polecili czwale.

Chmurno było i coraz chmurzyło się bardziej na niebie. Była to pora wiosenna, ale nie tej zielonej i wesołej wiosny, która duszę napełnia życiem i nadzieją, odmładza starych, dodaje sił młodym; — ale tej smutnej jeszcze i nagiej, która nie ma żadnego wdzięku, nie zielonego, świeżego i środkuje jeszcze między zimą a wiosną prawdziwą, podobniejszą do jesieni niż do wiosny. Gdzie niegdzie jeszcze płaty szerokie śniegu bieleły na czarnej ziemi, powietrze ciepłe było i wilgotne, niebo chmurne i czarne, wiatr przenikający choć nie chłodny. Droga była szkaradna, ale woźnica uprzedzony o potrzebie pośpiechu nie zważał na to, i wiadomymi sobie manowcami, po pagórkach pędził, nie dbając o błoto bryzgające dokoła, ani na częste przechylenie się kolasy.

Tak w milczeniu lecieli długo, długo — mistrz w ślad za niemi konno gonił i kolasę dościgał. Zaszła czerwona łuna zachodnia, wszedł księżyc, uspokoił się wichur, konie jeszcze leciały; nareszcie wpadli w zarośla, potem w las, koniom zwolnił biegu woźnica; stanęli u wrót opuszczonej w lesie kapliczki. Tu już było światelko i u ołtarza mnich zakapturzony,

w stule, czekał państwa młodych. Twardowski zesko-
czył z konia i wprowadził do kaplicy pannę Agnieszkę.

To miejsce nie szczególnie było na obrzęd ślubo-
win wybrane. Opuszczona dawno, smutna, czarna, zruj-
nowana kaplica. Mury jej przesiekłe były wilgocią,
okna potraskane od wiatrów i burzy, pełno gratów
walało się na podłodze, ławki były połamane, obrazy
podarte szmatami wisiały na ścianach, gdzieśgdy
goździem przytrzymane.

Ołtarz brudny ledwie obrus okrywał, a w dwóch
drewnianych okapanych lichtarzach paliły się dwie
świece, których długie knoty oznajmywały jak długo
czekano na nowożeńców. Nie można było wchodząc
w to miejsce, oprzeć się mimowolnemu smutkowi, ja-
kim przejmowało to opustoszenie, ta śmierć wszystkiego.
Na dobitkę jeszcze, zdarty i okapany woskiem całun
z białym krzyżem, rozesłany był na stopniach ołta-
rza, zamiast kobierca. Uderzyło to mistrza, uderzyło
pannę Agnieszkę, ale on nie wierzył w żadne wróżby,
ona nadto się śpieszyła do ślubu upragnionego, żeby
się taką fraszką wstrzymać dała.

Zaledwie stanęli u ołtarza, rozpoczął się ślub z taką
szybkością, że odpowiedzi ledwie za zapytaniami zdążyć
mogły. Zamiana pierścieni, związanie rąk stulą, wszy-
stko to spletało się jak we śnie. — Chwila — i już
znowu Twardowski unosząc na ręku żonę, siadał do
kolasy, a konia swego oddawszy służce, pędził z nią
nazad do Krakowa. Piękna Agnieszka, uwinięta szero-
kiem futrem, śmiała się i wesoło wyglądając rychło-li
przybędą do miasta, odpowiadała śmiało i swobodnie,
bez żadnej oznaki wewnętrznego poruszenia, na pełne
gorących żądź zaczepki męża. Już miało świtać, gdy
w mgłę dymów porannych ukazały się wieże Krakowa.
Wkrótce woźnica jechał już uliczkami przedmieść, a
właśnie wśród powszechnej ciszy dzwoniło na Jutrznia,
gdy powóz zastanowił się u wrót kamienicy mistrza.

Te były otwarte; ciżba sług stała czekając rozsypa-
na wzdłuż sieni, wschodów, na ulicy. Dopalały się
światła oczekiwaniem całonocnem strawione. — Pił-

niejsi pacholcy krzatali się, inni pokotem leżąc drzemali snem porannym. Na górze słychać było wrzawę wielką. P. Agnieszka spojrzała na męża.

— Cóż to za krzyk? u ciebie są goście?

— Sprosiłem ich na wesele — odpowiedział mistrz z uśmiechem.

Pani Twardowska zarumieniła się z radości i poprawiła zmiętej podróżą i uściskami męża sukni. W tem otwarły się podwoje szeroko, ukazała się wielka sala, wybita czerwonym adamaszkiem ze złotym galonem, wspaniale oświecona. W pośrodku niej był stół połyskujący od sreber, nad nim sterczały liczne głowy biesiadników, których hałas przybywającej kolasy z opicia przebudził i na drżące nogi postawił.

Powitani okrzykiem wesołym, weszli państwo młodzi. Ale zaledwie pani Twardowska odkryła twarz swą ich chciwym oczom, kilka krzyków dały się słyszeć z tłumu, krzyków gniewu, oburzenia, złości, przekleństw i groźby.

— Agnieszka!

— Ona!

— Moja wychowanica!

— Moja narzeczona! wołali.

Mistrz bowiem wszystkich prosił, a nikomu imienia swej przyszłej żony powiedzieć nie chciał.

Stary p. Stanisław z rozognioną twarzą, przeciskając się, z tłumu gości wyskoczył.

— Mości Panie! krzyknął, to zgroza! to *scandalum*! Waszmość śmiałeś podmówić moją krewną, porwać z mego domu narzeczoną innemu, wpół już jego małżonkę? Waszmość śmiałeś jeszcze jakby na urągowisko mnie tu zaprosić, abym był świadkiem jego rozpusty i na swoje własne upokorzenie patrzył? Dobądź szabli i bij się — jesteś szlachcic.

— Hola! hola! wołali drudzy hamując.

— Stójcie! stójcie! krzyczały kobiety.

Pani Twardowska zdumiona i przerażona cofała się za męża. Przystąpił kupiec *pseudo-* narzeczony.

— Waszmość odważyłeś się następując na *securita-*

tem niecziwego domu, porwać z niego osobę już mnie za *konsensem* jej krewnych przyrzeczoną? — Waszmość mnie porwałś moją własność jak zbójca — ja się naprzód bić będę — ja, ja — hola, dajcie mi szablę!

— Cicho mieszczaku! ozwał się ktoś z przyjaciół mistrza, nie masz prawa do szabli boś nie szlachcie, na kije chyba z tobą wystąpi z nas który.

Tymczasem spokojniejsi wszczynając się wrzawę starali się zahamować, nie dając się do siebie zbliżać rozniewanym, rozprowadzając ich. Hałas jednak rósł co chwila. W tem śmiała pani Twardowska wystąpiła z za meza i zawołała do p. Poraja i jego krewniaczka:

— Czego to Waszmość chcecie, i o co wszczynacie wrzawę? Komuż to z was przysięgłam na niewolę, że mnie swoją jak bydle kupione zowiecie? Jestem-li Waszmości córką, p. Stanisławie, żeś mną bez mej woli chciał rozporządzać? Jestem-li twoją żoną, panie Dominaszku, że się o mnie jak o swoją dopominasz? Co za prawo macie do mnie? jestem sierota, zrobiłam co chciałam — wy wydziedziczycie i rzecz skończona.

— Nie do ciebie mowa, szalona pałko, odpowiedział zajątrzony p. Stanisław, ale do tego co cię porwał. Precz białogłowo do kądzieli i garnków, a ty wystąp z szablą! Przyplacisz mi srodze to urągowisko, na jakieś mnie wystawił.

Mistrz, który, jakby go wcale obelgi groźby nie dotykały, milczał, dotąd uśmiechając się tylko, ozwał się nareszcie:

— Powoli, powoli! Trzebaż wprzód, żebyście potańcowali na mojem weseln. — Hej, grajkowie, a nu w skrzypce!

Tylko co te słowa wyrzekł, wstąpili na ławy grajki z niemiecka ubrani, i jeszcze się p. Stanisław szamotoł, jeszcze kłął Dominaszek okropnie, gdy na głos czarodziejski smyczka, klnąc, wrzeszcząc, wywijając kijami i szablami wszyscy przytomni przytrzymując się, próżno usiłując ustać, poszli mimowoli w taniec sza-

lony do koła stołu.

Mistrz ich tak oczarował, że wszyscy, wiele ich tam podówczas było, opętanemi puścili się w skoki, a choć pełni złości, kłeli, bić chcieli, popychali się, tańcowali jednak. Zagniewani, zmordowani, bezprzytomni, kręcili się z odgłosem czarodziejskiej muzyki, która nie ustawała. Już dzień był biały, a oni jeszcze zwiłali się po sali podkasawszy pół. Nareszcie p. Stanisław wypraszać się zaczął.

— Mistrzu, wołał, każ ustać kapeli, ty nas w śmierć pozamęczasz! do licha! uwolń od tej męczarni. Daruję ci wszystko, noga moja u ciebie nie postanie. — W Imię Boga, każ tej przekłetej kapeli ustać! Dominaszku, przytrzymaj mnie z całych sił.

Dominaszek tańcząc chwycił p. Stanisława, ale ledwie się go dotknął, rozlatywali się, każdy w inną stronę, jak dwie rozpedzone i uderzone o siebie piłki.

Mistrz z żoną śmiał się do rozpuku; aż wreszcie gdy ujrzał, że się dobrze nznobili wszyscy, dał znak. — Ustała muzyka, wszyscy na ziemię popadali, a wielu i powstać nie mogło.

Wnet stół pokrył się misami srebrzystymi, potrawy, dzbanami — rozpoczęła się uczta. Obrażeni jednak lękając się znowu jakiej zemsty, cichaczem pouciekali do domów.

Mistrz z żoną zasiedli pierwsze miejsce za stołem na paradnych aksamitem wybitych krzesłach; otoczyli ich goście, a wśród wesółch wiwatów, trwała biesiada do nocy. Nad zmierzchem zniknęli państwo młodzi, pijacy pozostali u kuflów, obżartuchy poszli się z niestrawności kurować.

Całe miasto uważało, że ta noc była niesłychanie długa; a byli nawet tacy, którzy utrzymywali że czterdzieści godzin trwała. Inni jednak piszą, że nie dłużej nad dobrych trzydzieści. W tym względzie nie stanowczego wyrzec nie ośmielamy się; wiemy tylko, że Twardowskiemu tak się zdała krótką, iż z tej okoliczności cytował ruskie przysłowie.

ROZDZIAŁ X.

**Jak Twardowski żył z żoną, jak z rady diabła ją pod-
słuchał i co potem czynił.**

Któż nie zna złotych pierwszych chwil małżeńskiego pożycia, kiedy jeszcze z czary miłości spijają się pierwsze słodczyce, kiedy pewien urok tajemniczy, pewne nieobznajomienie się połączonych, nowym są przysmakiem? Któż nie zna tych dni promiennych szczęściem, nadzieją, kiedy się zdaje że życie całe upłynie roskoszą, weselem, zgodą i miłością? Takie dni są nawet najnieszczęśliwiej dobranego stadła udziałem, bo na brzegu czary, która często ukrywa w sobie tyle goryczy, jest zawsze kropla słodkiego szatu, odurzenia i rozkoszy. Naówczas małżonkowie wzajemnie jeszcze dla siebie zachowują względy, szauują się, pieszczą, o tyle tylko spoufaleri, o ile poufalskość miłości ich jest potrzebna, nie wyzuwają się zupełnie z pewnych form grzeczności, które coś idealnego, nieludzkiego, na pierwsze dni małżeńskich rozkoszy rzucają. Mąż i żona przyglądają się sobie, usiłują się wzajemnie zbadać (bajka to żeby się wprzód znać można), i w tem pół zaufaniu, pół niedowierzaniu, nie puszczając sobie cugłów zupełnie, o jakże są jeszcze szczęśliwi!! Nie da-jeż to do myślenia, że człowiek chcący dłuższego szczęścia w małżeństwie, powinien go szukać w uprzedzającym obejściu się i oznakach uczucia, jeśli uczucia prawdziwego nie ma?

Takie, jak wszystkich prawie, były pierwsze dni pożycia Twardowskiego z żoną, oboje byli sobą szczęśliwi. Ona na chwilę zapomniała o swej dumie, o wielkości, sławie i bogactwach, bo pierwiastki gorącej miłości do życia jej wystarczały; on szalenie zakochany

u nóg jej, całując jej ręce, patrząc jej w oczy, czuł w tych chwilach, że mu nic nie zostawało do życzenia. Wówczas tylko kiedy myśl śmierci w oczy mu zajrzała, kiedy piekło, któremu duszę zaprzedał, przypomniał, chmurzyła mu się twarz i zasępiało czoło. Jednakże gdy jaka namietność całą swą siłą człowiekiem owładnie, łatwo naówczas obce jej myśli topią się i nikną w tym ogniu. — Twardowski też rzadko, coraz rzadziej myślał o piekle. Szatan w kącie na wszystko poglądał, wszystko widział i uśmiechał się po cichu. Wiedział on, że tak zawsze być nie może. Wiedział on co się działo w głębokich tajnikach duszy pani Twardowskiej, i co za przyszłość gotowała się dla nich obojga.

Uchodziły godziny, dnie, tygodnie, miesiące — cały rok tak upłynął, dopiero ku końcowi jego zmieniać się zaczęła pani Twardowska. Jej charakter stracił pierwsiastkowych dni słodycz, duma i chęć rozkazywania wychodziły powoli na wierzch. Z początku jednak było to niewyraźnie i delikatnie stopniowane. Mistrz ulegał śmiejąc się i żartując, zawsze jeszcze zakochany, a zatem powolny. Czasem tylko, kiedy sam na sam z myślami swemi pozostał, chmurzyło mu się czoło, wracały dawne zadumania chwile. Pani tym czasem rządziła się w domu, traciła pieniądze na zbytki, sadziła się na przepychy, coraz nowe sobie wymyślała zabawy. Wkrótce dom dla niej stał się nudny, nowych zapragnęła wielbicieli, nowych gości. Starala się zwabić najzaciejniejszych, aby się jej bogactwom dziwili, starała się o najrozumniejszych, aby ich mądrością swoją zachwycić, a powoli zapominając o miłości, której tylko jakby dla formy pierwsze dni pożycia poświęciła, oddała się swej namietności panującej — namietności blasku i wielkości.

Niepodobna jest opowiedzieć, jak do tego stopniami przyszło, jak się ten przykryty jej charakter rozwinął i wyjawiał, jak zwolna kochanka i żona zmieniła się w panią nieznosną. Twardowski potrzebował spokojności dla myślenia, ona mu rozkazywała bawić pasibrzu-

chów, którzy śpiewali jej pochwały; chciał w ciszy nad badaniami natury pracować, ona go z sobą ciągnęła w świat nudny, na którym sobie tylko szukała pochwał i oklasków. W domu biedny mędrzec nie miał także pokoju. Nie było swobodnej godziny i kąta. Po jego księgach biegały jejmościne psy i papugi, które dla tego mieć chciała, że je miała królowa i wojewodzina. Mistrz musiał ciągle tylko jej służyć.

— Pójdź tam — zrób to i t. p. były wkrótce jedynemi jej do niego wyrazami. Z początku słodziły to niby serdeczne wyrazy — drogi — serce — duszo; — potem i od tego się uwolniła, a poczuwszy swą siłę, jak koń który zaczyna od klusa a kończy na czwale, leciała wzięwszy na kiel.

Jest jednak chwila, w której i najpowolniejszy człowiek, obejrzy się, i najcierpliwszy znecierpliwi i najłagodniejszy oburzy. Ta chwila zbliżała się i dla mistrza, którego tylko dotąd nienasycona miłość trzymała w niewoli. Coraz mniej jednak czuły, coraz smutniejszy, w końcu pozwalał sobie niekiedy się z lekka sprzeciwić, okazywać nieukontentowanie, lub nie posłuchać małżonki. Potem przyszło do tych nieporozumień kilkogodzinnych, kończących się zawsze wieczorem, gdy piękna żona związywała włosy i kłaść się miała w łóżko. Z tych kłótni krótszych, przyszło do kilkodniowych i całoniedzielných; a choć świat jeszcze nie widział co się tam działo w tem stadle, choć powierzchownie była zgoda, wewnątrz kipiała wojna i gotowały się burze.

Bo wszystko przychodzi nieznacznie. Tak czas nieznacznie nas starzy, tak boleści nieznacznie nas podjadają, tak miłość nieznacznie nas wikła, tak niezgoda poczyną się z małego, a pożar od iskry. Tak też początkiem wojny domowej były tylko milczenia i dąsy, potem krótkie swary kończące się uściskiem wieczornym, potem nareście nieznacznie przyszło do głównych kłótni. Gdy raz przenocowała pod poduszką niezgoda, już zamieszkała w domu. Pomiarkowali oboje że walką żyć będą, uzbroili się i nuż do boju!

Ale ciężka była walka z mistrzem! Miał on za sobą

naukę, rozum, język i słowa na rozkazy, czary na pomoc, tysiąc tajemnych sposobów — ona tylko upor nie-wieści i potrzaskaną broń swoją, resztki niedogasłej dawnej miłości. Ale prędko w tej wojnie domowej ostatki jej spłonęły — wspomnienie tylko, jak czarny węgiel zostało — więcej szkodliwe niż pomocne. W końcu już tylko widywali się, żeby się kłócić, a djabeł, o! jakże się śmiał wówczas i poklaskiwał!

Raz wszedł on właśnie do komnaty mistrza, gdy ten spocony, rozgniewany, po długiej jakiejś sprzeczce z żoną, zadumawszy się ponuro siedział.

— Dobry wieczór ci mistrzu! rzekł. Dawnośmy się nie widzieli — ale, nowe sitko na kołku. Mógłbym myśleć, mimo twego ożenienia, że cię coś dręczy, tak jesteś smutny i taką widzę w tobie boleść. Miałyżby tak prędko przyjść już złe czasy?

— Jedno nie! jedno nie! odpowiedział Twardowski pocierając czoła — drobnostka, pewne domowe kłopoty, nieoddzielne od małżeńskiego życia, *malum necessarium*.

— Widzę ja wszystko co się dzieje, nie zmyślacie przedemną, rzekł djabeł śmiejąc się. Czytam w twojej duszy, jak w liście do mnie pisanym. Pozwolisz-że mistrzu przypomnieć, jakie naówczas obiecywałeś sobie szczęście, gdym ja stale odradzał ci teraźniejszych związków?

— Nie myliłem się obiecując sobie szczęście; to są małe przechodzące chmurki.

— Chmurki te, mistrzu, codzień się stają czarniejsze, twoja żona straszniejsza co chwila — wiesz to sam dobrze, na cóż chcesz to ukrywać przedemną.

— Któż ci powiedział, że temu przyczyną moja żona?

— Jeszcze pytania? a! na siódmą otchłań siarczy-
stą, alboż zapomniałeś, że wiem zawsze o wszystkim i nie opuszczam cię nigdy?

— Ha! kiedy wiesz wszystko, rzekł mistrz, no to dajże mi radę.

— Radę? teraz! zapewne! kiedyś się zabrał z nią

na wiekuiste gołąbkowanie! Ale czemuż nie słuchałeś, gdy ci radził wprzód wyssać ją, wysać co miała słodczy i rzucić jak brzydką łupinę owocu, który na chwilę chłodził?

— Dla czego? Tak chciałem! i dosyć; miałem w tem moje myśli — mój sposób widzenia rzeczy.

— Zrobiłeś jak chciałeś, a skończyło się jakem ja przepowiedział, rzekł djabeł z wiecznym śmiechem. Teraz czas, żeby się to twoje głupstwo przecie skończyło.

— Jakże się ono ma skończyć?

— Dość hędzie gdy ją po prostu wypędzisz.

— Żebym ja! ja! wypędził żonę z domu! Oszalałeś — cóżby na to ludzie rzekli?

— Ludzie! W czas opatrzyłeś się, że ludzkie gadanie potrzebne ci jest do szczęścia.

— Ależ djable, to by było szkaradnie, wypędzić żonę.

— Jaką żonę?

— Przecież jest moją żoną.

— A tak! bo ja wam ślub dawałem!

Mistrz trochę był o tem zapomniat i uwikłany w życie pospolitych ludzi, przywykł się był uważać jak najprawdziwszym mężem.

Nastąpiła chwila milczenia, po której ozwał się Twardowski:

— W istocie jednak, nie jest ona tak złą jak się zdawać może tobie.

— Jest gorszą niż ty myślisz, odpowiedział szatan — widać tylko że ją jeszcze kochasz. Ha! żyj z nią jeśli chcesz jeszcze, kiedy ci się tak to życie podobało, lecz chcesz-li się o jej cnocie przekonać?

— Ona mnie zdradza! zdradza! ona by mnie śmiała zdradzić! innego by kochała! wrzasnął zapalczywie porywając się z miejsca i lecąc do szatana Twardowski. — To być nie może! to niepodobna!

A djabeł zimno, nie ruszając się z miejsca, odpowiedział.

— Tak jednakże jest. Ona cię zdradza!

— Ty mi to musisz dowieść! to być nie może!

— Tak jest!

— I dla kogoż? mów! mów-że!

— Zwyczajnie, dla świeżego młokosa, odpowiedział djabeł powolnie — trwa to już dobrze od dwóch miesięcy. Dla owego p. Krzystofora, owego wymuskanego komornika królewskiego, w którego głowie tyle jest rozumu, ile w czaszce zdechłego konia.

— To być nie może! to niepodobna! wołał mistrz — pójdę, pójdę! przekonam się i zabiję ją!

— Idź-że, idź! ale pozwól sobie na pożegnanie powiedzieć, że nie widziałem głupszego nad ciebie mędrca. Zamiast czekać przekonania, zamiast powolnie się i rozważnie zemścić, dozwolić sobie rokoszy, prawdziwej rokoszy zemsty, ty chcesz żeby ona ciebie zgromiła, płaczem pokonała, ogłupiła i nadal rozumniejsza, związała ci na nowo głowę i ręce do wiecznej niewoli!!

— Cóż mam poradzić? co mam robić? rzekł mistrz, mów. dyktuj — mnie pali.

— Czekaj, wysłuchaj mnie cierpliwie. Udaj (to ci łatwo przyjdzie) że cię dziś wezwano do chorego, wyjedź niby w kilkunastu-milową podróż. Ona niechybnie, jak tylko ty ztąd wyruszysz, wezwie do siebie kochanka. W nocy drngiemu drzwiami od ogrodu wkradniesz się do swojej komnaty, będziesz mógł podsłuchać ich rozmowy, i przekonaną na ówczas wypędzisz z domu haniebnie.

— Dobrze tak! dobrze! lecz nie chcę jej wprzód widzieć, rzekł Twardowski, bo bym w sobie tajemnicy nie potrafił utrzymać, to mówiąc klasnął na sługę i posłał go z oznajmieniem do pani, że pilno wyjeżdżać musi w drogę na dni kilka.

Chwilka ledwie minęła, gdy szatan ukazał mu przez okno, tylnemi drzwiami wychodzącą z kamienicy służącą i powiernicę pani.

— Oto już idzie po gaszka — rzekł, złapiem ich w półapkę niezawodnie.

Nadeszła przygotowana kolasa, Twardowski ruszył

z domu, a szatan niewidzialny pozostał na czatach.

O! jakże niecierpliwie, odprawivszy konie za miasto, sam w gospodzie pod Florjańską bramą ukryty, oczekiwał oznajmienia! o jak mu z gniewu, z oburzenia, z niecierpliwości serce biło i krew po wszystkich żyłach wrzała! Nareście nadleciał szatan, z uśmiechem prawdziwie piekielnej radości na ustach i rzekł tylko:

— Chodźmy!

Noc była pogodna i jasna, sunąc się pod ścianami kamienic, dostali się po cichu do ogródka na tyle mi-strzowskiego dworu. Tu otworzyli furtkę, cicho przeszli ulicę i wkradli się niepostrzeżeni do izby, dotykającej wprost sypialni. Stanęli?

— Gdzież są? spytał drżąc mąż.

— Tu obok, odpowiedział djabeł, słuchaj tylko cierpliwie, przez drzwiczki dójdzie cię ich rozmowa. Dla ucha męża nie ma podobno ciekawszej w świecie, nad jego żony z kochaukiem!

Twardowski unosząc ogromną szablę drżącą w jego ręce spotniałej, przysunął się do drzwi blady, zdyszany, nieprzytomny, i słuchał.

W sypialni była taka rozmowa:

— Nieprawda, nieprawda, panie Krzystoforze! nigdy mego męża nie kochała!

Był to głos pani Twardowskiej, pierwsze te słowa mąż usłyszał.

— Ależ moja Agnieszko (był to głos gacha), dla niego przecie odmówiłaś tak bogatemu Dominaszкови, rzekłaś się po Porajach dziedzictwa! Ja to wiem wszystko! Dałaś się nareście wykraść, i to wielka ofiara.

— Żem odmówiła temu głupcowi Dominaszкови.

— To nie dziw zapewne, przerwał głos gacha, ale zapisy Porajów! wioski, kamienice, kapitały! sto razy rozumniejsze od Dominaszka! tak rozumne!

— Twardowski był i jest bogatszy, niż Dominaszek i wszyscy Poraje — wyrachowałam się dobrze.

— Przecież wyznaj Agnieszko, nalegał znowu głos

gacha, w pierwszych chwilach, ja patrzałem na was, tyś go widocznie kochała.

— Musiałam dobrze udawać, odpowiedział głos Agnieszki, kiedym was wszystkich — nie tylko jego jednego zwiodła! Trzeba lepu na ptaki i miłości na podciągnięcie mężów pod swoje panowanie. — Raz w siodłach, nie tak się łatwo rozwikłają.

— Zaiste! zręczna z ciebie niewiasta, na Boga! rzekł p. Krzysztofor ze śmiechem — a twój Twardowski, którego tak wielkim mędrce i czarnoksiężnikiem głoszą, bardzo głupi, że się na sztukach nie poznał. — Ale któż by się niewieściej udawanej miłości nie dał podejść, gdy ona dumę łechce, a takie jeszcze oczy o niej mówią.

Tu usłyszał mistrz pocałunek, i chciał już drzwi otworzyć, ale go szatan wstrzymał jeszcze.

— Posłuchaj-no jeszcze trochę, rzekł, może się znowu czego ciekawego dowiesz.

W sypialni ciągnęła się dalej przerywana tylko pocałunkami rozmowa.

— Powiedz-że mi, był głos Krzysztofora, czy prócz bogactw Twardowskiego, nic więcej nie skłoniło cię pójść za niego? Starali się o ciebie przecie ludzie bardzo bogaci.

— Słuchaj, trzeba żebym ci się przecie wytłumaczyła, odpowiedziała kobieta. Z tobą muszę być szczerą. Wolalam go od innych *za męża*, bo był razem bogaty, sławny, znaczący. Całe życie śniło mi się bogactwo, sława i wielkość; wszystko byłabym za nie oddała. A że był razem mój mąż bogatym, sławnym i znaczącym, nie wahałam się i chwili, czułam że mi tylko tego do mojego szczęścia potrzeba.

Po chwili:

— Nie wiedziałam że i miłość do życia potrzebna, bom ją przy tobie dopiero poznała.

Tu nowe były pocałunki i uściski.

— Nie rozumiem jednak za co, rzekł mężczyzna, głoszą Twardowskiego wszystkowiedzącym czarnoksiężnikiem, gdy on daje ci się zwodzić tak spokojnie i

niczego się ani domyśla; nie domyśla że ty nie jego, ale bogactw jego i sławy żądałaś, gdyś mu rękę oddawała.

Przypomina mi to przypowieść wielkiego naszego poety, który

ziemię przemierzył i głębokie morze,

ale ci jej nie powiem całej!

Uśmiechnął się p. Krzysztofor.

Po chwili znowu głos Agnieszki:

— Tak to zawsze wychodzą wielcy mędrcy owi, którzy zapatrzwszy się w niebo, nie mają czasu ziemi widzieć. — Zresztą coś dziwnego, że w nim znalazłam jedno, czego mi było potrzeba, w drugim resztę. Jego jestem żoną, twoją kochanką, jego mam sławę i bogactwa, twoją miłość, nim żyję dla świata, tobą dla siebie. Oba te życia składają jedno dopiero całe.

— A ja zawsze powtarzam swoje, bo się temu wydziwić nie mogę, rzekł gaszek — coś to za głupi mędrzec!

Tu już dłużej Twardowski powstrzymać się nie mógł, otworzył drzwi z trzaskiem, wpadł do sypialni z szablą podniesioną i dwa ogromne krzyki spłoszonej pary dały się słyszeć.

P. Krzysztofor chwycił za leżącą blisko szablę swoją, ale w ręku swym zdziwiony ujrzał tylko wiszący od rękojeści kawał płótna. Twardowski w gniewnem milczeniu oczyma ich mierzył.

Pani Twardowska, kryła się w łóżko, nurzając głowę pod wezgłowie.

— Ha! nieprawdaż, krzyknął do gacha! — głupi Twardowski — tyś tylko mądry i ona mądra! on głupi, głupi, bo na was czatował; głupi, bo was złapał; głupi, bo was przykładnie ukarze — głupi Agnieszko twój mąż! głupim ja panie niewieściuchu, podwikarzu! Tyś mądry żeś dał się złapać w pólapkę! o! tyś dopiero mądry! No! pokaż-że teraz wysoką mądrość swoją i wywiń się z tego — i ty także śliczna pani, tak biegła w oszukiwaniu. — Od ciebie naprzód zacznę.

— Nie jesteś i nie byłaś moją żoną, bo nie ksiądz, ale niewiedzieć kto ślub nam fałszywy dawał. Precz z mego domu nierządniczo — precz! Idź żebraj nędzna po ulicach, lub siądź gdzie pod straganem garnki przedawać, ty coś całe życie o wielkości i bogactwach marzyła. — Idź i spróbuj nędzy! precz z mego domu, nierządniczo paskudna!

Klasnął na sługi, którzy przybiegli.

— Wyrzućcie ją, zawołał, za próg domu, a jeśli się tu więcej pokaże, osmagajcie ją różgami. Nie chcę ci życia odejmować, lepiej cię ukarzę pogardą i nędzą!

Precz nierządniczo! wyrzućcie ją ztąd!

A słudzy porwali ją i wyciągnęli płaczącą za wrota domu. Dawno oni ją nienawidzili, to też ściśle i bez litości dopełnili rozkazu.

— Ty zaś mój miły gaszku, coś się tak! żwawo do szabli porywał, zważając żeś nie tyle winien, masz tylko dwadzieścia lat pokuty, które przeżyjesz w psiej skórce błądząc po ulicach. Tak, w psiej skórce, w skórze parszywego kundla, którego gnać będą kamieniami i odpędzać ukropem od wrót; idź za twoją kochanką, miły gaszku!!

Ledwie to wyrzekł, p. Krzysztofor, zmieniwszy się w obrzydliwego psa, zaszczekał, zawył i nciekł popędzany razami nielitościwych sług. To był początek zemsty Twardowskiego.

ROZDZIAŁ XI.

Jako się mścił jeszcze Twardowski.

Po tej próbie małżeństwa, Twardowski zmienił się bardzo. Zrazu szukał on kobiet, potrzebując ich jeszcze i mniemając, że znaleźć potrafi taką, która go szczególnie pokocha. Ale próżne to były nadzieje. Gdy głupcy łatwo bardzo dostać mogli kochanek, które za nimi szalały, i mężów nawet dla nich zwodziły, on nie potrafił znaleźć żadnej, coby go inaczej jak dla jego złota lub sławy kochała. Czemuż to? Bo podobno kobiety lubią głupszych od siebie kochanków, nie czując się z nimi upokorzone. One to bardzo lubią wywyższyć swoją utrzymać i rozkazywać wszystkiemu co ich otacza. — Musiał się więc sam oszukiwać, ograniczać Twardowski tą głupią miłością, zapłaconą, udawaną, która nie nasycy; a jednak chwyta się jej nie jeden, gdy łaknąc namiętności, szlachetniejszego przedmiotu nie znajdzie; tak jak myśliwiec pije wodę z brudnej kałuży, gdy go pali pragnienie, a czystego nie widzi źródła. Tak i mistrz, porzuciwszy żonę, znał tylko potem towarzystwo owych zepsutych kobiet, które złotem kupował. Djabeł śmiejąc się podstawiał mu przed oczy coraz wdzięczniejsze postacie, a kiedy Twardowski smutny nieraz, myślą wszystkie zawody swego życia przypominał, on mu szeptał:

— Wierz mi mistrzu, innej miłości nie ma, chyba dla głupców, co w inną wierzą! Może być przywiązanie nałogowe, namiętność zwierzęca, dziecięcy szal platoniczny; ale tego co ty zowiesz miłością *per excellentiam*, tego nie ma na świecie, jak Feniksa i Syreny, chociaż Feniksa także i Syreny opisują bardzo uczeni i poważni ludzie. Są to wszystko poetyczne bajki.

Mistrz więc musiał się rad nie rad kontentować, tem co mógł posiadać, to jest najgorszą częścią miłości, miłością bydłą. Szatan umyślnie wmawiał mu że innej nie było, bo się lękał aby prawdziwa miłość, nie uczyniła mistrza cnotliwym, tak jak czyni wszystkich istotnie zakochanych.

Długie tak znowu upłynęły lata

Kilka już przeszło od czasu rozvodu mistrza z żoną, gdy on raz wracał do miasta od chorego, otoczony służbą i dworem swoim, jak zawsze skrzywiony i znudzony, nie wyspany, udręczony myślami ciężkimi, które zwykle opanowują głowy ludzi zużytych i znużonych życiem.

Wjeżdżał właśnie z poczem swym na rynek, gdy obróciwszy się bez myśli, ujrzał coś, zastanowił się i gorzko uśmiechnął.

Ujrzał był właśnie Agnieszkę, niegdyś swoją żonę, która w lichej budce, przylepionej do ściany jakiegoś domu, siedziała smutna, blada, nad stosami garnków.

Okrywała ją podarta i brudna suknia, oczy miała wpadłe, włos poprzylegał do skroni, usta zsiniały, a z wdzięków dawnych, został tylko straszny wyraz oczów, który jak dawniej kochanków, teraz kupców odstręczał. U nóg jej leżał szkaradny pies bury, niegdyś jej kochanek, którego ona teraz przez litość karmiła...

Na ten widok serce mistrza zawrzało nowym gniewem, nową żądzą zemsty, odwrócił się do sług i rzekł:

— Widzicie tę niewiastę nad garnkami siedzącą? Jest to niecna złodziejka; idźcie i wytłuczcie jej garnki i psa jej obijcie.

Na rozkaz mistrza pobiegli słudzy z kijmi, a wkrótce ulica rozległa się wrzawą przekupki i wyciem burego kundla.

Gdy się to działo, mistrz powolnie przejeżdżał mimo kolasą złożoną, nasycając się płaczem Agnieszki, która poznawszy go, zasłoniła twarz rękoma i padła na ziemię.

Szatan unosił się w powietrzu nad głową mistrza

i poklaskiwał z całych sił.

Odkrywszy ostatnie schronienie biednej Agnieszki w lepiance lichej, ile razy przejeżdżał mistrz tamtędy, tyle razy ludziom swoim, garnki jej wytłukać i psa bić kazał; aż póki przywiedziona do rozpacz, gdzieś indziej się nie przeniosła.

W sercu Twardowskiego niczem nie' nasycona gorzała zemsta. Nie tyle mu chodziło o zdradę samą, jak o to, że się dał oszukać. Dla niego było to boleśniejsem nad wszystko. On także był dumny. Nie żałował już potem jej miłości, ale bolał krwawo, że się poniżył i zhańbił w oczach ludzi. Mógłże jej kiedy obrazę swej miłości własnej darować? Jest to jedno, czego dumni przebaczyć nie umieją, nigdy i nikomu.

ROZDZIAŁ XII.

Jako Twardowski przeszłości swej żałował, i z djabłem się kłócił.

Ale wszystko się kończy żalem, mało jest rozkoszy tej ziemi płaczu, którymby prędzej później nie towarzyszyły zgryzoty, za którymi by nie szedł w ślad smutek, Albo się żałuje upłynionych chwil jako postradanego dobra, albo się płacze steranego w boleściach żywota, albo to, co było szczęściem, w nudę się zmieni przesyceniem. Zawsze żal w końcu.

Tak było i z Twardowskim, który niczem nie zaspokojony, ani nauką, ani światem którego używał; tęsknił i żałował że wieczność całą przed sobą zamknął, Począł przeglądać się że zły handel zrobił z szatanem. że nie nie może opłacić duszy i nieśmiertelności. Bo wszystko co otrzymał w zapłacie, było tylko przemijające, z nim gineło; nie mogło nawet pocieszać przeszłości wspomnienie gdy się żadną nie podpierało przyszłością; a nadchodząca wydawała się czarną i groźną. Póki dalsza była od niego ta przyszłość, nie tak mu dopiekała, nie tak była straszną, lecz co godzina, co dzień zbliżała się; Twardowski drugi już raz widząc siwiejącą głowę, stękał i ubolewał nad krótkością życia ludzkiego. A jednak żył tak długo! Z dzisiejszego stanowiska, wszystko wydawało mu się tak próżnem; nauka tak czezą i małą wobec świata i światów, rozkosze tak drobnymi punktami wobec wieczności?

— I toż to życie! mówił — Gdzież nasycenie mądrością, któremu się spodziewał! Marzenia o szczęściu w nauce, do czegoż mnie stanowczego przywiodły? Do żalu za straconą przeszłością. — Do czegoż mnie przy-

wiodła żądza użycia świata? Do przesyty i zniechęcenia wszystkim!

W głębi serca, choć się tego sam przed sobą wstydział, żał mu było najbardziej — Czego? zgadnijcie.

Oto chwil tych pierwszej młodości, chwil prostej wiary, cnoty i pobożności, owych chwil złotych, w których nie myślał nawet, aby mu życie kiedy tak szumnem a tak gorzkim być miało.

Naówczas zdawało mu się że na zagonie ojców, w zagrodzie cichej, spłynie to życie w pobożnem rozmyślaniu, przechadzkach, codziennej miłości, pożyciu z żoną i dziećmi.

Później prawda śmiał się nieraz Twardowski z tego obrazu spokojnego szczęścia i zwał je *szczęściem głupców*; lecz skosztowawszy wszystkiego, gdy po wszystkim, gorzki tylko smak został mu w ustach, wzdychał przecie za tem życiem; bo to jedno widział równie czystem u źródła jak u ujścia, to jedno nie miało metów na dnie.

— Nacóżem tak bardzo oddalił się od przeznaczonego mi żywota? mówił do siebie. — Cóżem zyskał na zamianie? zgryzoty. Na grzędzie ojcowskiej byłoby mi tak spokojnie, tak swobodnie, tak cicho! Byłbym się nauczył cenić to, co dziś żadnego na mnie przez przesyty wrażenia nie czyni, ciszę, piękny widok świata; byłbym kochał wieś, wiosnę, naturę, byłbym szczęśliwy w ciszy, na poziomie, ale jednostajnie i bez zgryzot ciężkich sumienia. Żona moja byłaby zapewne jak moja matka — aniołem!!

Mimowolnie, Twardowski teraz, coraz częściej wspominał matkę; ile razy to czynił, było mu na sercu, jakby je kto pokropił balsamem.

Ale gdy spozryzał potem z tej przeszłości, którą od siebie odrzucił, pod nogi — widział piekło otwarte. Drżał myśląc że tam nie pójdzie z nim nawet wspomnienie matki, ani chwil dziecinnych, bo z potępionym do piekieł idzie tylko zgryzota i pamięć zbrodni.

I znowu, i znowu, mierzył myślą życie ubiegłe, i znowu wracał do tych chwil młodości, chwil religij-

nego zapалу, chwil głębokiej wiary, gdy uczniem jeszcze będąc, składał pobożne pieśni do Matki Bożej i Świętych Pańskich, które dotąd lud pobożny śpiewał po kościołach jeszcze. — Kiedy wspomniał na uczucie z jakim to czynił i czyste szczęście jakiego w zapale religijnym doznawał; podwójnie, dziesięćkroć, żałował że te chwile nie miały żadnego związku z dalszem jego życiem, a nic ich się zerwała.

Często i coraz częściej w podobnem dumaniu wpływały mu całe noce, jeśli szatan nie opatrzywszy się wcześniej, nie poddał mu na miejsce tych myśli, innego jakiego zatrudnienia, lub chwilowo odurzającą nie opętał go rozkoszą.

Przy schyłku coraz smutniejsze stawało się życie mistrza; czuł zbliżającą się chwilę, w której go szatan miał porwać do piekła. Nieraz mu na myśl przychodziło ratować się czem od tej ostateczności, ale ile razy wspominał na swoje grzechy, tracił zupełnie odwagę. Kamieniem przywalone miał sumienie.

Raz, tak noc całą przedumał Twardowski, porównywając swoje życie jakiego pożądał, z tem które mu los wyznaczył, przekonując się co chwila, że wola i rozum człowieka nie są mu dostateczne do pozyskania szczęścia, że wybór jaki namiętność czyni, prawie zawsze jest fałszywy, i żał wiedzie za sobą.

Już piał koguty i ranek nadchodził gdy jeszcze mistrz sparty na dłoniach gorące swoje i poorane troskami czoło na poranny chłód wiosenny wystawiał i pełną piersią wciągał powietrze, aby się niem orzeźwić. — Napróżno!

W głowie były płomienie, zar w piersiach, które z trudnością poruszały się, jak stare zardzewiałe zawiasy zużytych wrót.

Pusto było do koła, tylko Maciek pajak snuł sieć swoją w oknie. Mistrz spojrzał na niego i rzekł w duszy:

— I on szczęśliwszy odemnie!

— Gdzież moja sława i co mi z niej? — gdzie życie moje i co mi z niego? gdzie moja mądrość, której poświęciłem tyle? Oto w tym czerepie oblażył, który

zowią głową i koroną człowieka, mózg mieszkanie duszy, mądrości, pamięci, uczuć. — Mózg ten jest stara chata, wiatrami i burzą połamana, osuwa się i chyli. Ciasno już w nim duszy i mądrości i nauce, a ta którą zakupił kosztem wieczności mądrość, wkrótce mi uciecze, bo mieszkanie jej będzie niewygodne i ciasne!

Gdybyż choć wspomnienie szczęścia? Ale było to szczęściem, co się niem zwało u mnie? Dziś prócz kilku chwil młodości, wszystkie wspomnienia moje, czarne jak węgiel.

Wtem, gdy tak duma, gdy powietrze chwyta, raunek się wyjaśnił, dzień powstał, mieszczanie pootwierali okna, i pobożne pieśni śpiewać zaczęli.

Wśród ciszy porannej usłyszał mistrz jedną z tych pieśni, pieśń którą był ułożył, będąc jeszcze młodym, na cześć Boga-Rodzicy. — Usłyszawszy ją, tak gorąco przypomniał sobie tę ubiegłą młodość wiary i nadziei w niebo, tak gorzko jej pożałował, że załamawszy ręce i spuściwszy oczy, słuchając pobożnej pieśni, która przez otwarte okno, z porannem powietrzem wciskała się — zapłakał!

O! były to łzy gorzkie, nigdy nie widziane na jego wyschłej twarzy, pierwsze łzy od kilkudziesiąt lat — ale łzy rozpaczy!

A pieśń pobożna rozlegała się daleko, płynęła w powietrzu, czysty, spokojny głos jakiegoś rannego pracowitego człowieka nucił ją swobodnie, zaczynając dzień modlitwą.

Jemu musiało być tak lekko — mistrzowi tak ciężko na sercu, tak gorzko, tak okropnie! Łzy wielkie płynęły mu z oczów na suknię, a w niemej rozpacz, z załamaniami rękoma, stał tak długo — długo, stał i płakał i milczał i myślał o swojej młodości.

Potem nagle, gdy całą tę przeszłość ujrzał przed sobą, ów domek ojca spokojny, owe szczęście wiejskie, życie pobożne i cnotliwe, do których wrócić już nie było można — porwał za okno drżącymi rękami, za-trzasnął je i odskoczył. Obrócił się.

Za nim stał szatan.

— Nie ma co mówić, rzekł szatan szydersko patrząc na zaczerwienione oczy mistrza, to była wcale piękna piosenka!

Twardowski obwinał się w milczeniu opończę, usiadł w krzesło i nic nie odpowiedział. Po chwili djabeł rzekł znowu:

— Ale żart na stronę. Ty się mistrzu bardzo starzejesz i zaczynasz, jak zazwyczaj starzy, żałować lat młodych. Widać że ci już życie obmierzło. Ot wiesz co, weź już łaskę pielgrzymią i idź do Rzymu.

— Ha! tego ci się chce? rzekł mistrz z gniewem, poczekasz jeszcze.

— A wszakże muszę czekać, kiedy tak stoi napisano, że cię w Rzymie dopiero porwać mamy, rzekł djabeł. Ale i waszmości samemu, czy nie zdało by się, że już czas to nędzne życie ukończyć? W istocie w piekle nie jest to już tak bardzo a bardzo źle jak powiadają. No jużciż nie ze wszystkiem dobrze, to prawda, na co kłamać, ale jednakże przesadzają znowu, i bardzo przesadzają w opisach.

Mistrz milczał upornie, a świeżo jeszcze wylane łyzy i świeże jeszcze myśli o młodości, złością go przeciw szatanowi niecnemu burzyły, któremu przypisywał wszystkie życia swego nieszczęścia.

— Widzę, że waszmość nie w humorze, rzekł szatan. Wielka szkoda! trudno będzie z waszmością dysputować. Ale prawdziwie tak piękna wiosna, tak to piękny i eiekawy ten włoski kraj i stolica dawna świata Rzym, że w własnym waszmości interesie muszę mu, nawet dla jego zdrowia, radzić tę podróż. Waszmość nie uwierzysz ile to jest rokoszy w podróżach. Ja co się ciągle tłukę po świecie, mogę mu zaręczyć, że nic jej nie zrówna. A Włochy, miłościwy panie! Włochy! kraj cudów! a Włoszki! kobiety z ławy Wezuwjuszu! A Rzym mianowicie, Rzym! Rzym! co to za miasto! Wierz mi mistrzu, tak jesteś smutny, tak przybity, że dla ciebie jedynem widzę lekarstwem podróż do Rzymu.

W ciągu tej szyderskiej perory, Twardowski siedział zmarszczony i milczący; porwał się wreszcie i krzyknął księgę w rękę chwytając:

— Na piekło djable, nie nudź mnie więcej i idź precz! Przysięgam że noga moja nie postanie we Włoszech i w Rzymie!

— A! to coś osobliwszego! rzekł szatan; cóż z naszą umową się stanie, w której artykuł XIV, paragraf trzeci stanowi, że cię mamy porwać w Rzymie?

— Radź sobie jak chcesz — odpowiedział mistrz.

— To ostatnie słowo waszmości? spytał djabeł.

— Ostatnie moje słowo — idź precz!

Djabeł grzecznie się skłonił i milczący wyszedł z izby.

ROZDZIAŁ XIII.

Jako djabeł zbudował szlachecowi karczmę.

Pomimo grzecznego ukłonu, djabeł bardzo zmartwiony wyszedł z izby i skrobał się w głowę mocno, tupał nogami, chrapał, nie wiedząc co począć z sobą. Nie w smak mu bardzo były te żale młodości coraz częściej opanowywujące Twardowskiego. Bał się jakiego nawrócenia i rad był przyspieszyć porwanie go, ale nie mógł wymyślić sposobu, jakim by go do Rzymu wyprawił. Co gorzej, świeżo się tak mistrz zaklął, iż do Włoch nie pojedzie! Trzeba było fortelem go jakimś zażyć.

— *Ergo!* rozumował sobie djabeł (djabli sobie nawzajem potężnie argumentują), nie będzie w Rzymie, jeśli nie będzie we Włoszech, i *ergo* my go porwać nie będziemy mogli. Co tu począć? W cyrografie nie stoi — *Roma Italiae! Vivat!* Można poszukać drugiego jakiego Rzymu, albo jaką *Roma Polonorum* skomponować. Proszę, co to jest brak ostrożności! Gdyby tylko był dodał: — *Italiae!* nie mógłbym mu dać rady!...

— Tak pomyślawszy i plan swój osnuwszy, rozpuścił szatan skrzydła i poleciał.

Leciał on dość długo, aż go uderzyła nowa karczma na drodze pod Sandomierzem stojąca, jeszcze nie ze wszystkim skończona. Nie miała jeszcze murów, okien, dachu poszytego, goły tylko stał zrąb, a nad nim krokiewki chude.

Koło niej latał na koniu szlacheć, lamentując i krzycząc.

Djabeł zawsze ciekawy, spuścił się wnet ku niemu pod postacią chłopka, wyszedł z za węgla z czapką w rękę, i słuchał skrobiąc się w głowę.

Szlachcic wołał głośno:

— O! przekłeci majstrowie! przekłeta hałastro! Daj Boże spotkać się z wami gdzie na drodze, albo gdy tylko przez moją wieś przechodzić będziecie! Pokażę ja wam, co to znaczy ze mnie sobie żartować! Dam się ja wam we znaki i porobię pamiątki po plecach!

Dla tego żem ja raz w termin nie zapłacił ich głupiego jurgieltu, porzucili mi ciesielkę i mularkę i porozehodzili się do stu czartów! Jest-że to sprawiedliwość? A tu mój mieszczanin Sandomierski, któremu karcznię najął, żąda zwrotu swoich pieniędzy i załogu, jeśli mu karczma w termin nie stanie! Do stu kaduków! Termin tak blizki! Majstrów ani dostać! Te łotry jeszcze rozgłosili że ja nie płacę!

— Za pozwoleniem jegomości dobrodzieja, rzekł djabeł wysuwając się z miną pokorną. Słyszę narzekanie, że karczma w terminie skończona być nie może. A nie mógłbym ja wiedzieć, kiedy to ten termin?

Szlachcic obejrzał się pogardliwie na chłopca i odpowiedział:

— A tobie chamie co do tego! Może te łotry wysłali cię tu na szpiegi? Dam ja ci zuchwalcze! Jeszcze śmiesz mi się urągać.

— Niech no się wasza miłość nie gniewa, odpowiedział szatan. Ja jestem wędrujący rzemieślnik, potrzebuję roboty, mam swoją czeladź, mógłbym się o tę robotę ugodzić.

— Ty obdartusie?

— A kiedy termin wasz?

— Kiedy! kiedy! za dwa dni! odparł szlachcic ze złością.

— No — to karczma stanie gotowo, rzekł djabeł śmiało.

— To być nie może!

— Będzie — rzekł djabeł znowu.

— Jakto chamie! tu jest na miesiąc roboty!

— Na godzinę ledwie ściśle biorąc, odpowiedział oglądając się szatan.

— Chyba ci djabli dopomagać będą?

— Choćby i tak, to waszej miłości nic nie szkodzi.

Szlachcic spojrział w oczy mniemanemu chłopu, a ten się uśmiechnął.

— No! a co mi pan za to da? rzekł szatan.

— Co ci dam! he! — Ależ to być nie może żebyś tego dokazał. Wieleż ty masz czeladzi?

— Jedną głowę i dwie ręce, odpowiedział szatan.

Szlachcic coraz bardziej odpowiedziami chłopu zdziwiony, ramionami poruszył, odwrócił się i zawołał:

— To być nie może, żebyś ty to zrobił! Drwisz ze mnie chamie. Gadaaj, wiele masz czeladzi?

— Co waszej miłości do mojej czeladzi, byle jutro karczma była gotowa — rzekł chłop. — Jak nie będzie a zawiodę, dasz mi sto nahajów! zgoda?

— Zgoda! rzekł szlachcic mimowolnie śmiejąc się i po trochu zaczynając się lękać. — Ale ty masz coś minę, jakbyś sobie drwił ze mnie? Może ten łotr mieszczyk cię namówił, na którego mam podejrzenie, że i tamtych majstrów pobuntował, knując tylko żeby gdy karczma w czas nie będzie, załóg wziąć odemnie! Ej! tylko ostrożnie wszakże ze mną! ostrożnie!

— Ale o cóż waszmości chodzi, odpowiedział djabeł, przyslij tu swoich przystawów, każ mnie pilnować, a jeśli karczmy nie skończę, dasz mi sto nahajów. I to nie do dwóch dni karczmę ci postawię, ale do jutra rana, niechybnie.

— Toś ty chyba djabeł! zawołał szlachcic.

— Może i djabeł, odpowiedział mniemany chłop, a co waszej miłości w to wchodzić? Szlachcic się przeżegnał nieznacznie, a szatan zakrzuszył.

— No! no! więc zgoda, rzekł szatan. — Już ja karczmę dokończę. — Zapłaty nawet za to nie chcę żadnej, tylko jednej rzeczy się od waszmości domagać będę.

— No — radbym wiedział czego za to zechcesz? wybąknął szlachcic oglądając się bojaźliwie.

— Śmiesznej rzeczy, odpowiedział szatan, małej rze-

czy! będziesz się waszmość śmiał, gdy mu to powiem, ale mnie chodzi o osobliwszy zakład.

— Cóż to takiego! tobie o zakład chodzi?!

— Dozwolisz mi karcznię nazwać jak zechcę.

— Ho! a na cóż to tobie? Ja jej imię już dałem, zowie się *Nowinka*.

— Mnie chodzi jak rzekłem o zakład, nazwę ją po swojemu, a za to skończenie nic Waszej miłości kosztować nie będzie.

— Jakże ją nazwiesz?

— Jak mi się podoba.

— Przecież trzeba, żebym o tem wiedział, abyś mi w tem jakiego urągowiska nie uczynił, albo na ludzki ze mnie śmiech jej nie przezwał.

— Oto się waszmość nie bój, nazwę ją bardzo pięknie tak jak się zowie najślawniejsze w świecie miasto.

— Jakież przecie? powiedz mi.

— Nazwę ją — *Rzym*.

— Rzym! Osobliwa! zkadże ta myśl tobie? co to za zakład?

— To moja tajemnica! ale czy zgoda na umowę?

— No — zgoda! Jednakże pamiętaj aby jutro była gotowa, bo ja z siebie nie dam żartować!

— Jutro rano przybywaj tu waszmość do mnie.

— Przybędę!

— Możesz śmiało oznajmić mieszczaninowi, który wynajął karczmę, żeby przybywał! Nie będzie w niej i jednego ćwieczka brakować.

Szlachcic odjechał.

* * *

Nazajutrz rano karczma stała gotowa, pokryta; mury były skończone, okna i drzwi powprawiane, ubite toki w izbach; nawet ogromny ogień palił się na kominie, a przy nim siedział nasz djabeł i grzał się.

Nad drzwiami na tablicy wielkimi literami napisane było: *Karczma Rzym*.

ROZDZIAŁ XIV.

Jako Twardowski smutnie pędził życie.

Reszty życia mistrza, były coraz pełniejsze goryczy, coraz smutniejsze. Nie zajmował go i nie wabił, świat, którego odmłodzony tak pragnął; nauki, które wyczerpnął do dna. Ponury, z głową zwieszoną, pooraną twarzą, zasępionem czołem, skurczony w dwoje, w czarnej sukni, milczący, był tylko dziwowiskiem dla tłumu, a udręczeniem dla siebie. Z całej przeszłości została mu tylko dwuznaczna sława jego życia, i cudownych leków i czanoksiejskich wiadomości.

Czy to że leczenie zajmowało mu już trudny do przeżycia czas, odrywając go od przykrych dumań, czy dla innych przyczyn, Twardowski nie porzucał do ostatka swoich zatrudnień lekarskich. Mniej już jednakże szafował cudami, więcej leczył zwykłemi sposobami niż szatańską pomocą. Przytem wdzięczność, zapłata, pomnożenie sławy, tak go już mało obchodziły, tak mu były obojętne, jakby w duszy jego żadnego nie obudzały uczucia.

Smutno było patrzeć na niego, bo twarz nawet i postawa, stan duszy malowały. Z każdego zmarszczka pooranej twarzy mówiły zgryzoty i żal przeszłości; a przez wyniosłe, wyschłą i żółtą skórą okryte czoło, widać było co za walki pod niem przewrzały. Od czasu jak odczarowany konał tak powolnie, opuścili go ludzie, stracił tych przyjaciół, którzy tylko jego stołu i dzbaną przyjaciółmi byli. Nikt mu wiernym do ostatka nie pozostał, dawniejsi biesiadnicy, którzy za jego stołem pod niebiosą go wynosili, teraz wstydzili się podać mu rękę, dla tego że wnosząc z powierzchowności, myśleli iż zubożał. Jeden tylko Maciek-pająk, zawsze u

jego okna siatkę przedząc, nie odstępował go, choć mógł gdzieindziej się przenieść.

Jakby się umyślnie przeszłością swoją chciał karać, Twardowski wychodził znowu często na Krzemionki i z skały, która nazwisko szkoły jego miała, spoglądając po okolicy, długie godziny, wsparty na dłoniach, przepędzał. — Wśród tego życia zgryzot, nigdy już nie wróciły znowu te łzy, które raz tylko zrosiły twarz jego, owego pamiętnego ranka, gdy dźwięk pieśni złotej jeszcze w młodości, doszedł jego serca. Nigdy więcej nie przemówił już do niego. Jednakże kantyczki, w których te pieśni jego zawarte były, nosił Twardowski od niejakiego czasu przy sobie choć ich nigdy nie otwierał. Czasem tylko ścisnął je konwulsyjnie w rękach, jakby się pasował między żądzą szukania w nich pociechy, a jakimś nieopisanym strachem.

Smutne to było życie jego, samotne, całe oddane na łup zgryzotom i rozpacz, przeplatane straszliwymi myślami o piekle i potępieniu.

Było to konanie, za którem żadnej nie zostawało nadziei — czarne tylko piekło. Znekany starzec przysiągłszy diabłu, że nigdy w Rzymie nie będzie, uspakajał się tem nieco; ale ilekroć wspomniał na minę diabła i milczącą jego zimną rezygnacją przy pożegnaniu ostatniem, lękał się jakiego podejścia.¹

ROZDZIAŁ XV.

Jaki był koniec mistrza.

Jednego wieczora zastukano silnie do wrót domostwa Twardowskiego i zaczęto wołać:

— Otwórzcie, otwórzcie, na miłość Bożą! Twardowski nie miał nawet sługi jednego tak się był opuścił, poszedł więc sam do wrót.

Zaledwie furtkę odsunął, wpadł człowiek młody i strojny, pięknej twarzy, dobrej miny, ale pomieszany i błądy.

Tu mieszka mistrz Twardowski? spytał.

— Tu, i ja nim jestem, odpowiedział starzec. Czego waszmość chcecie odemnie?

— Na miłość Bożą, mistrzu! Ratujcie mojego ojca! Jedna nadzieja w tobie. — Jeśli ty go nie wyratujesz, to nikt pewnie!

— Cóż to się stało ojcu waszmości?

— Straszny przypadek go dotknął. Konie go potłukły okropnie. Sprowadzałem doktorów, wszyscy powiedzieli, chyba tu mistrz Twardowski z Krakowa da temu radę, a my nic nie możemy zrobić. Leży już ledwie żywy! Ratuj go na miły Bóg zaklinam! Co tylko żywie chcesz, wszystko ci dam!

Mistrz się uśmiechnął i głową pokiwał.

— Daleko to ztąd?

— Dosyć daleko! Pod Sandomierzem. Na odgłos twej sławy pospieszyłem aż tu do ciebie. Porozstawiane konie po drodze. Na Boga, siadaj ze mną i jedź mistrzu!

Twardowski nic nie rzekł na to, wskazał młodemu człowiekowi, aby na niego poczekał i poszedł zabrać co było potrzebne jak sądził dla chorego. W chwili powrócił z paczką pod pachą i siadł do kolasy, która

jak wicher poleciała. — Konie zdały się ziemi w biegu nie tykać; co kilka mil odmieniali je i po dość długiej podróży, ukazał młody człowiek mistrzowi nową karczmę, na rozdrożu stojącą.

— Oto tu jest mój ojciec! rzekł do Twardowskiego.

Stanęli, wyskoczył młodzieniec.

— Pójdę przodem, proszę waszmości za mną, proszę za mną. Wszedł do izby, mistrz za nim.

Zaledwie Twardowski próg przestąpił, drzwi się za nim zatrzaśły, szum powstał wielki. Zdziwił się mistrz i szukał oczyma chorego napróżno. W tem z alkierza wysunął się znajomy szatan z cyrografem w rękę, uśmiechający się i wesoły.

— Co ty tu robisz? zawołał mistrz.

Szatan w milczeniu podsunął cyrograf i rzekł poważnie, powolnie, patetycznie:

— Ta karczma — *Rzym* się nazywa!

Twardowskiemu na te słowa w głowie się zakreśliło, zaszumiało, splątało. Rzucił się naprzód do drzwi, drzwi były zaparte, okien strzegli djabli rojami, komin starym djabłem zatknięto umyślnie. Wszelkie ostrożności przedsięwzięto, niepodobna się było wymknąć. Nie stracił jednak Twardowski przytomności, i w tej chwili ujrzawszy w kołysce ledwie półroczne dziecko szynkarki, pochwycił je w mgnieniu oka na ręce i dopiero odetchnął.

— Ha! zawołał, sądziłeś psi synu, żeś już mnie złapał! Poczekasz ruski miesiąc. Nie możesz mnie porwać z tem dzieckiem, ono jest chrzczone i bez grzechu.

— Co? co? syknął szatan.

— Tak! porwać mnie z tem dzieckiem nie możesz — ani się nawet mnie dotknąć.

— Tożem głupi jak bydle, rzekł szatan, żeś je tu zostawił! I uderzył się pięścią w czoło.

— No! o włos byłem zgubiony! szepnął Twardowski do siebie.

— Dziwny rozum i przytomność, rzekł szatan zmieniając ton i starając się przypochlebiać. Położ-że je

już położy w kołyskę — Nic ci się mistrzu nie stanie — wygraleś!

— Nie tak jestem głupi, jak ci się zda, odpowiedział Twardowski, przyciskając dziecię do siebie.

Djabel spojrzał i szusnął do alkierza nazad. W chwilę okropny piskliwy głos dał się słyszeć, wybiegła pani szynkarka rozczochrana, z zapalonemi oczyma, z twarzą zapłomienioną, rękami zakasanemi; a ujrawszy dziecię swoje u mistrza, porwała się prosto do niego.

— Co to ty łotrze robisz z mojem dziecięciem! Co to jest! krzyknęła, oddaj mi je złodzieju albo cię tym ożogiem w śmierć ubiję!

Mistrz usunął się i rzekł spokojnie:

— Wszakże ci go nie biorę, ani mu w twoich oczach mogę co zrobić — słuchaj!

— Ja nic nie chcę słuchać! Czego ja będę słuchała! Oddaj mi zaraz moje dziecko, słyszysz! albo tak cię kropnę...

— Milcz i słuchaj babo, bo je zduszę, jeśli mnie dotkniesz.

— Nie bój się, nie bój, on tylko tak gada, ale on tego nie robi, szepnął djabel szynkarce chcąc ją podjudzić do odebrania dziecięcia. Nie udało mu się jednak, bo uspokojona baba zapewnieniem, że się dziecku nic nie stanie, odsunęła się i zdawała chcieć słuchać.

— Sto kop tobie kobieto za pożyczenie mi dziecka, tylko póki wyjdę ztąd i wyjadę na granicę.

— Ot-to! odpowiedziała szynkarka, albo ja ci uwierzę?

— Masz pieniądze, rzekł Twardowski, rzucając jej kieszę.

Ona schyliła się, porwała, spojrzała w środek, schowała i już zamilkła.

Djabel znowu do alkierza pobiegł i przyprowadził ojca. Ale ten ledwie o swoje dziecko gębę otworzył, żona mu ją zamknęła, pokazując worek i mówić nie dała. Skończyło się na ukłonach i skrobaniu w głowę. Djabłu znów się nie udało. Nie było już sposobu.

— Trzymaj-że sobie dziecko póki chcesz, rzekł, ale

to pewna, że ja cię ztąd przez próg nie puszcze i choćby głodem zamorzę.

— Tego nie możesz zrobić, odpowiedział mistrz spokojnie, siadając z dzieciędem na ławie. Wiesz dobrze, że ja, i warunki naszego kontraktu i twoją władzę jak daleko się ona rozciąga, znam bardzo dobrze. Nic mi nie wmówisz.

Szatan skrobał się w głowę aż z niej iskry się sypały.

— Bodajem przepadł, rzekł, jeśli kiedy pokuszę się na mędrka. Już mnie twoja dusza cztery razy tyle kosztuje co warta. Jeszcze mi ją popsuł w ostatku. niebezpiecznymi żalami i lamenty a wspomnieniami młodości.

Com ja stracił czasu! com się napracowałem! a teraz mi się tak wymykasz! Uczciwież to mój mistrzu? I co ci z tego życia? czyżes nie miał wszystkiego, czego tylko pożałowałeś? Czyliżes go sobie wedle upodobania nie przedłużył? Czyś nie użył życia jak ci się tylko podobało? Czyżem ci jako ostatni sługa nie dopomagał? Cóż ci teraz zostało? strach, żal, zgryzoty. Wszakże to straszniejsze męczarnie od piekielnych, wszak ty tracisz żyjąc, nie zyskujesz — nie lepiej-że, nie uczciwiej, raz już skończyć i mnie zaspokoić a dług oddać?

— Dla czegoż ci tak spieszo kończyć ze mną? rzekł mistrz.

— Bo mi już dojadło, kilkadziesiąt lat jednej duszy pilnować! — Rozmyśl się tylko mistrzu! Wiesz dobrze, że cię z tem dzieckiem nie porwę; ale czy to uczciwie, czy to po szlachecku, tak się wykręcać dawszy słowo? Zrobiłeś ze mną umowę o duszę — to coś ważniejszego niż kontrakt o majątek. Jakżeby cię nazwano, gdybyś złamał umowę raz uczynioną i podpisaną dobrowolnie? — Łotrem bez czci wiary! Fe! Fe! Godziż się to czynić szlachcicowi, bodajby nawet z djabłem?

Twardowski widocznie się mieszał — lice mu się zaczerwieniło, usta podniosły, powoli wstawał z ławy

i patrzył djabłu w oczy. Nie uszło to uwagi szatana, iż jego argumenta skutkowały, dodał więc jeszcze :

— Wiesz, że była umowa dobrowolna między nami, wiesz jaka świętość umowy dla uczciwych ludzi. Zdaje się, że *Verbum nobile, debet esse stabile*.

Na te słowa pokonany Twardowski położył zwolna dziecię w kołyskę i rzekł :

— Masz mnie djable — przekonałeś!

Ledwie sam sobie djabeł mógł uwierzyć gdy ujrzał skutek swej wymowy.

Tylko co Twardowski dziecię w kołysce złożył; już szatani zatopili w nim szpony i świszcząc przez komin wysoko unieśli.

Gdy po nad ziemią lecieli, Twardowski patrząc na nią raz jeszcze, całą swą przeszłość przypominał. Zwykle gdy się kończy życie, przychodzi ono pożegnać człowieka. Znowu w jego duszy ozwała się młodość szczęśliwa i wspomnienie chwil pobożności i wiary, znowu zadźwięczała mu w sercu owa pieśń do Boga-Rodzicy, którą był ułożył. Na to wspomnienie sięgnął mistrz po kantyczki, które przy sobie miał zawsze i dobywszy z piersi głosu, gdy już ziemia z oczu jego znikać zaczynała, nucić pieśń pobożną zaczął.

W tej chwili jak oparzony djabeł, puścił go nagle i zniknął, a mistrz został zawieszony w powietrzu sam jeden z pieśnią w ustach, i zdało mu się, że słyszy głos nad sobą potężny:

— Zostań tak do dnia sądu!

Otworzył oczy i dziękował Bogu, że go ze szpon szatana wyrwał. Lecz gdy łąą znowu zalane oko ku ziemi spuścił, już jej nie ujrzał przed sobą. Wisiał w białej, jednostajnej, niezmierzonej pustyni; chmury tylko suwały się pod jego nogami, a słońce piekło nad głową! Nie dochodził go głos ziemi, nie widział nic, otaczała go pustynia, w której sam był jeden, z myśłami swemi, ciężkimi towarzyszami po takim życiu.

Lecz gdy się modli i zawieszony w powietrzu drży

nad długimi laty, które za karę wisieć tak skazany — uczuł mistrz, że go coś po rękę łechtalo.

Był to pajak-Maciek.

Wierny sługa, uczeplił się sukni mistrza i los jego podzielił.

Twardowski zawołał go, poznawszy.

— Maćku! ty tu ze mną?

— Zawsze z tobą, twój sługa, odpowiedział pajak.

Odtąd pajak-Maciek, uczeplony do nogi mistrza, pozostał z nim na zawsze. Co rano tylko po długiej nici spuszcza się on na ziemię, czołga po znajomych miejscach, zbiera pokarm wieści, a wróciwszy zasila nim pana, którego wysechł zgryzotami i myślami ciężkimi, pożerającami go jak sęp Prometeusza.

Taki był koniec życia wielkiego mistrza Twardowskiego, którego imię i dzieje dochowały nam podania ludu, skarbnica wszystkich pamiątek, nie mieszczących się w historii pisanej. Z tych podań spisał życie mistrza autor tej książki, na pożytek wasz duchowny, którego z serca wam życzy.

Koniec tomu drugiego i ostatniego.







SPIS DZIEŁ

wydanych

w Bibliotece powieści i romansów WE LWOWIE

od października r. 1870, aż do dnia dzisiejszego.

1. **Tajemnice klasztoru neapolitańskiego**, z włoskiego.
2. **Hrabia de Camors**, przez Feuilleta, z francuskiego.
3. **Klemencja**, powieść hiszpańska, przez Fernana Caballero.
4. i 5. **Klub Pickwicka**, przez Dickensa, z angielskiego.
6. i 7. **Być albo nie być**, powieść szwedzka, przez Z. M. Schwartz.
8. i 9. **Gdzie winowajca?** powieść tłum. z francus. E. Gaboriau.
10. i 11. **Pieniądz i inie**, powieść szwedzka, przez Z. M. Schwartz.
12. **Poświęcenie kobiety**, powieść Eugeniusza Berthoud, z francus.
- 13., 14. i 15. **Niccolo de Lapi**, powieść historyczna, z włoskiego, przez M. d'Azeglio.
16. **Pomniejsze powieści M. W. Hohola**, z rosyjskiego.
17. i 18. **Opactwo Carrow**, przez J. F. Smith, z angielskiego.
19. **Dygnitarze**, romans meksykański, przez P. de los Rios.
20. **Piękna Pani**, powieść oryginalna J. I. Kraszewskiego.
21. **O Zmroku**, przez Wilkie Collins'a, z angielskiego.
22. **Synowie Barona**, czyli Anioł z ulicy Westerlang, powieść szwedzka, przez Kiellmana Goeranssona.
23. **Na Cmentarzu — na Wulkanie**, powieść współczesna, przez J. I. Kraszewskiego.
24. **Żona męża próżnego**, ze szwedzkiego, przez Z. M. Schwartz.
25. i 26. **Akta kryminalne I. 113**, przez Gaboriau, z francuskiego.
27. **Rina**, romans włoski, przez Wiktora Bersezio.
- 28., 29. i 30. **Pan Graba**, powieść przez E. Orzeszko.
31. i 32. **Wina i Cnota**, przez Z. M. Schwartz, ze szwedzkiego.
33. **Przeznaczenie**, powieść napisana według oryginału francuskiego w 2 częściach, przez Ludwika Enault.
34. i 35. **Wojewodzie**, powieść oryginalna, przez Gryzonia.
36. i 37. **Czarny Matwij**, powieść z życia ludu górskiego, przez Walerego Łozińskiego.
38. i 39. **Kto chce kochać, cierpieć musi**, przez Karola Reade, z ang.
40. **Powieści K. P.**
41. i 42. **Zmierzchy i Świty**, powieść współ. przez T. Szumskiego.
- 43., 44., 45. i 46. **Bolesć i Radość**, powieść współczesna z angielskiego, przez J. F. Smith.
47. **Na dwóch krańcach**, powieść oryginalna, przez P. Wilkońską.
48. i 49. **Skazaniec**, romans z angielskiego, p. Charles Reade i Don Boucicault, 2 tomy w jednym.
50. **Panna czy Pani?** powieść przez Wilkie Collins'a z angielskiego.
51. i 52. **Czarna ręka**, romans historyczny, ze szwedzkiego przez C. F. Ridderstadta, 2 tomy.
53. **Pamiątniki Daniela**, powieść współczesna napisał Józef Tretiak.
54. i 55. **Angiola Maria**, powieść włoska, przez Carcano, dwa t. w jednym.
56. **Namiętności**, powieść ze szwedz., napisana przez Z. M. Schwartz.
57. i 58. **Straszna gospoda**, powieść H. Smytha z ang., 2 tomy w jednym.
59. i 60. **Powołanie**, powieść przez P. z L. Wilkońską, 2 t. w jednym.
61. **Rok zamejcia**, przez E. Carlen, powieść, przekład T. Szumskiego, 2 tomy w jednym.
62. i 63. **Rienzi. Ostatni trybun rzymski**, powieść histor. przez L. Bulwera, 2 tomy, przekł. z angielskiego B. R.

Z zupełnego wydania

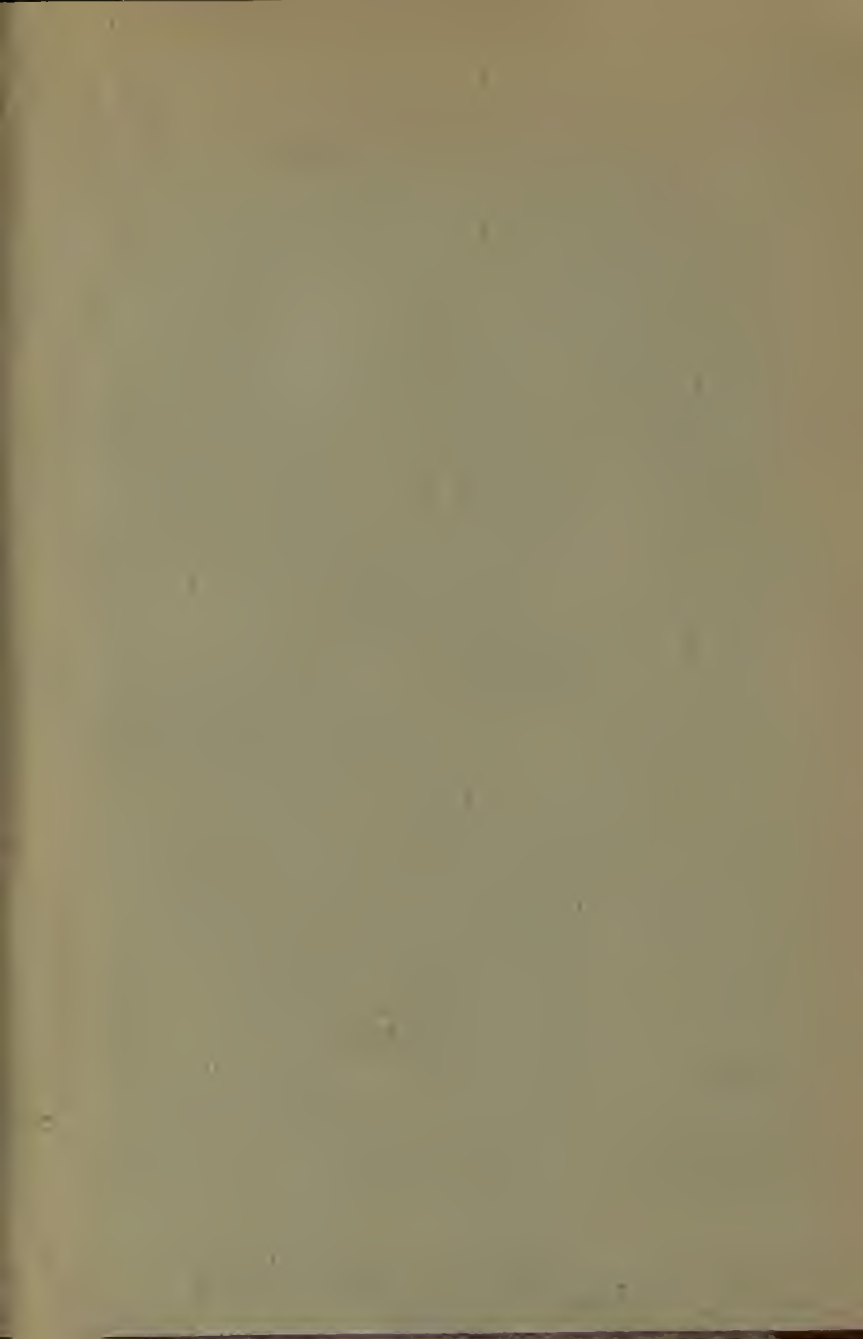
POWIEŚCI J. J. KRASZEWSKIEGO

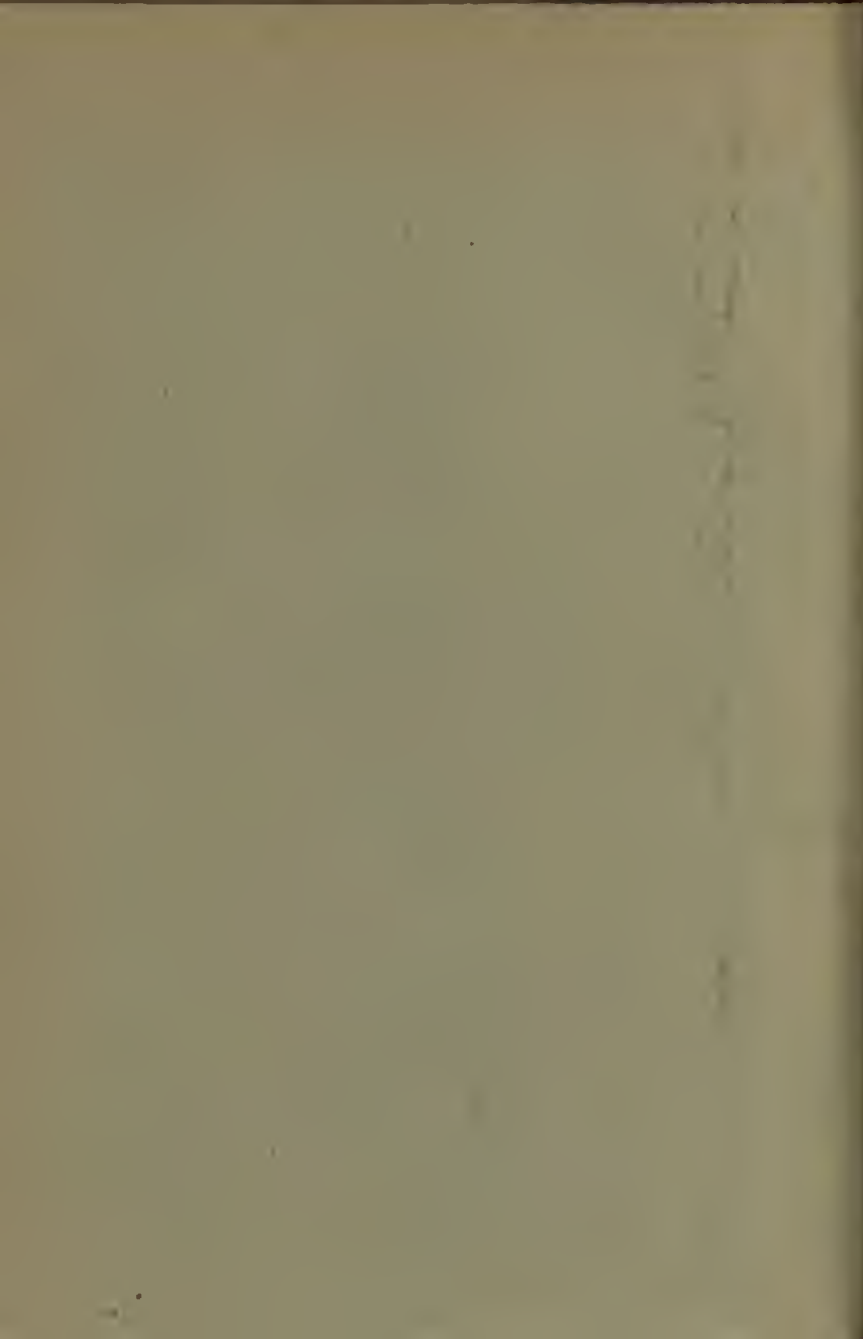
wyszło dotychczas tomów:

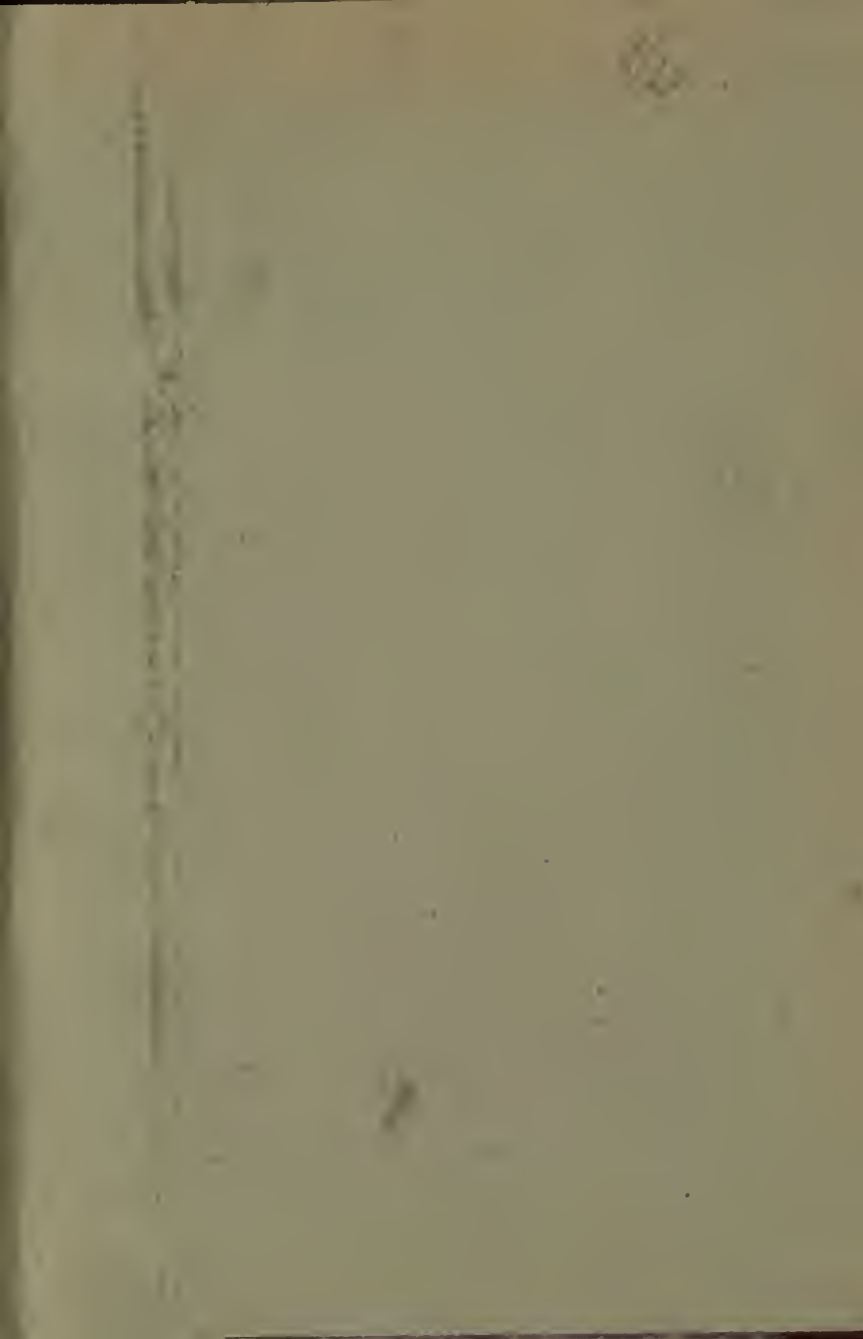
- Dwa Światy. 1, 2, 3, 4.
Chata za wsią. 5, 6, 7.
Poeta i Świat. 8, 9.
Pod włoskiem niebém. 10.
Stary sługa. 11, 12.
Dziwadła. 13, 14.
Ostrożnie z ogniem. 15.
Latarnia Czarnoksiężka. 16, 17, 18, 19.
Historja o bladej dziewczynie. 20.
Ładowa Pieczara. 21.
Pamiętniki nieznajomego. 22, 23.
Powieść bez tytułu. 24, 25, 26, 27.
Czercza Mogiła. 28..
Miljon Posagu. 29, 30.
Ostatni z Siekierzyńskich. 31.
Latarnia Czarnoksiężka. Serja II.; 32, 33, 34 i 35.
Djabek. 36, 37, 38 i 39.
Jermoła. 40.
Zygmuntowskie czasy. 41, 42, 43 i 44.
Tomko Prawdzic. 45.
Złote Jabłko. 46, 47, 48 i 49.
Żacy krakowscy w roku 1549. 50.
Komedjanci. 51, 52, 53 i 54.
Podróż do miasteczka. 55.
Budnik. 56.
Całe życie biedna. 57.
Metamorfozy. 58, 59 i 60.
Historja Kołka w Płocie. 61.
Mistrz Twardowski. 62 i 63.

Pod prasą:

Maleparta. 64.







Biblioteka Raczyńskich

JIK 1436



JIK1436